MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 1. WARSZAWA, 4 STYCZNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

HUMANITARYZM I RZECZY WAŻNIEJSZE

LUDZIE „silni“, „niesentymentalni“ z obozu „sanacyjnego“ dziwią się, a nawet gorszą potrosze, wzrastającem wciąż oburzeniem, jakie z powodu sprawy brzeskiej przenika coraz to szersze kręgi polskiego społeczeństwa. Przyzwyczajeni do oburzania się i entuzjazmowania się jedynie na komendę, przypuszczają, iż to wyłącznie „przyjaciele i spólnicy“ więźniów brzeskich czynią — jak określa „Prawda“ łódzka — „dokoła tej sprawy w niesamowicie huraganowem tempie szum i rejwach“. Skądże—pytają zaniepokojeni „sanatorzy“— ten nieoczekiwany zgoła odruch opinji publicznej, skoro, jak słusznie zresztą pouczał niedawno p. Mackiewicz w „Słowie“ wileńskiem: „załamała się w inteligencji polskiej wiara w liberalizm i humanitaryzm“?

Coprawda fakty, ujawnione we wniosku nagłym Klubu Narodowego, a szczegółowiej w interpelacji stronnictw centrowych i lewicowych są tego rodzaju, że i ten nawet, co nie jest „zbrojny w wielkie ukochanie człowieka w Polsce“, człek pospolity, którego twórczość nie była „kąpana w atmosferze współczucia, ciepła“ [1]), uczuwa i rozumie wszelako, że w tym wypadku sumienie nie pozwala mu na pozostawanie w milczeniu, na zachowanie wygodnej i bezpiecznej postawy obojętności. Istnieją krzywdy, straszniejsze aniżeli utworzenie „Polskiego Instytutu Literackiego“, które nietylko przewrażliwione serca poetów i beletrystów, ale nawet zwykłych „zjadaczów chleba“ wstrząsają i poruszają do głębi, zmuszając ich do przeciwstawienia się barbarzyństwu, w obronie podstaw najgłębszych zagrożonej kultury. Nie potrzeba tu „humanitarysty“ czy „liberała“, wystarczy być normalnym, uczciwym — człowiekiem.

Ażeby wszakże poznać, niezawsze uświadomione, źródła siły, z jaką powstaje dziś w społeczeństwie polskiem reakcja moralna w sprawie brzeskiej, niedostateczne byłoby wyjaśnianie jej samem współczuciem dla pokrzywdzonych oraz potępieniem nadużyć. Nie zrozumie się kwestji Brześcia, jeżeli się zapomni, że głównym poszkodowanym nie był tam ani p. Dębski, ani p. Korfanty, ani p. Bagiński, ani p. Popiel, ale — mundur polskiego oficera. Skoro czyta się w interpelacji opis egzekucji nad p. Popielem: „Jeden żandarm chwycił go za głowę, drugi za nogi pod kolana i w ten sposób rzucono go na stołek... otrzymał... uderzenie jakiemś żelaznem narzędziem, prawdopodobnie stemplem od karabina. . w trakcie bicia zemdlał“... — to nie los bezbronnego, katowanego człowieka budzi tu największą zgrozę. Straszniejsze stokroć są następne zdania interpelacji, stwierdzające: „Egzekucji nad p. Popielem towarzyszył kapitan Mieczysław Kędzierski. Do celi, do której został p. Popiel wtrącony po pobiciu, wchodził ponadto mjr. Edward Gorczyński z dawnych drużyn strzeleckich“. A kiedy czyta się, że więźniowie „używani byli do czyszczenia szmatą lub krótką miotełką, więc prawie gołemi rękami ustępów“, nie o położeniu „panów posłów“ rozmyśla się ze wstydem i upoko-

---

[1]) Wyrazy w cudzysłowach są charakterystyką oblicza moralnego p. Juljusza Kadena-Bandrowskiego, skreśloną piórem Wilhelma Feldmana („Współczesna literatura polska“, wyd. VIII, Kraków 1930, str. 565).

rzeniem, ale o tych oficerach i żołnierzach, którzy ich przy owej czynności nadzorowali.

Naród polski posiada bardzo jasną świadomość, że wojsko polskie istnieje nie od dzisiaj, ani też od lat dziesięciu albo piętnastu. Wie, że ci, co teraz noszą mundur armji polskiej, nie rozpoczynają jej historji, ale są dziedzicami tradycji Zawiszów, Chodkiewiczów, Żółkiewskich, Kościuszków, i że to dziedzictwo wyznacza im wyraźny całkiem ideał postępowania i określone obowiązki. Dlatego też dla społeczeństwa polskiego bardzo mało interesujące są informacje, co uczyniłby p. generał Dąb-Biernacki na miejscu p. pułkownika Kostka-Biernackiego, bo w zakresie pojęć o honorze wojskowym nie potrzebuje ono żadnych nowości i w tej dziedzinie nie widzi bynajmniej powodu uciekania się do improwizacyj. Zna doskonale odwieczny polski ideał „prawego rycerza", zna jego kodeks moralny, orjentuje się nieomylnie, co kodeks ten może nakazywać żołnierzowi, a czego mu zakazuje bezwzględnie.

Zdrowy naród na żadnym punkcie nie jest tak wrażliwy i tak silnie reagujący na wszelkie fakty i zarzuty, jak na punkcie honoru i dobrego imienia swojej armji. Właśnie dlatego, iż rzecz dotyczyła dobrej sławy wojska francuskiego, sprawa Dreyfusa, pod koniec ubiegłego stulecia, stała się dla Francji — jak trafnie określa Jacques Bainville — „*l'equivalent d'une révolution véritable*". „Dookoła sprawy tego oficera-żyda..." (oskarżonego o zdradę stanu)—pisze—„utworzyły się dwa obozy. Nazwisko jego nawet stało się symbolem. Francja podzieliła się na *dreyfusards* i *antidreyfusards*" [1]). Sprawa Dreyfusa, oraz walka, jaka dokoła niej rozgorzała, przyczyniła się też do odnowienia potężnego prądu narodowego we Francji, z którego naród francuski czerpał ogromne zasoby siły moralnej, zarówno w przededniu wielkiej wojny światowej, jak i w okresie jej trwania.

Aczkolwiek całkowicie odmienna od tamtej, sprawa brzeska to jedyne posiada z nią podobieństwo, że i tu również poruszone zostały najgłębsze, najsilniejsze instynkty duszy zbiorowej, których wyrazem jest najściślejszy związek psychiczny narodu z własnem wojskiem. Zbyt powszechne, zbyt żywiołowe jest w społeczeństwie polskiem umiłowanie armji polskiej, ażeby zarzut, iż czyjeś czyny przynoszą ujmę jej honorowi, mógł po niem kiedykolwiek spłynąć bez wrażenia i bez ściągnięcia potępienia na winowajcę. Niewielu pewnie znajdzie się w Polsce ludzi, dla których sprawa rozpatrzenia zarzutów, postawionych oficerom brzeskim, nie wydaje się sprawą „nagłą", którzyby radzi potraktować ją jakby jakieś drobne zdarzenie, zapomnieć o niej, przechodząc śpiesznie do „ważniejszych" i bardziej „aktualnych" zagadnień politycznych i gospodarczych. Nie istnieje nic ważniejszego dla Polaka nad honor polskiego żołnierza. Wszak jesteśmy „dzieci narodu wojennego".

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Jacques Bainville: „*Histoire de France*". Paris, Edit. Tallandier, tom II, str. 245.

ODKĄD POLSKA JEST PAŃSTWEM NIEPODLEGŁEM?

(KARTA Z DZIEJÓW POLSKI)

TRAKTAT międzynarodowy, zawarty w Wersalu dnia 28 czerwca 1919 r. z Polską, stwierdził, że mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, dzięki powodzeniu swego oręża, przywróciły narodowi polskiemu niepodległość, której był niesprawiedliwie pozbawiony; że rząd rosyjski odezwą z 30 marca 1917 r. zgodził się na przywrócenie niepodległego państwa polskiego, że Państwo Polskie, faktycznie sprawujące teraz zwierzchnictwo nad częściami dawnego cesarstwa rosyjskiego, zamieszkałemi w większości przez Polaków, już zostało uznane przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone jako państwo zwierzchnicze i niepodległe; że na zasadzie traktatu pokoju, zawartego z Niemcami, niektóre obszary dawnego cesarstwa niemieckiego będą wcielone do Polski, a granice Polski, które w nim jeszcze nie zostały ustalone, będą wyznaczone później przez główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone.

W traktacie pokoju Mocarstw z Niemcami z 28 czerwca 1919 r. Niemcy uznały zupełną niepodległość Polski i zrzekły się na rzecz Polski wszelkich praw i tytułów do obszarów, położonych w granicach określonych w Traktacie (art. 27, 28, 87).

Z brzmienia traktatów powyższych jasno wynika, że Polska przed zawarciem traktatu wersalskiego nie tylko faktycznie była niepodległa, ale miała już uznanie mocarstw sprzymierzonych jako państwo zwierzchnicze i niepodległe. Odkąd jednak wedle ogólnych zasad państwowych i międzynarodowych należy uważać Polską jako państwo niepodległe, to pytanie nie zostało dotychczas w sposób niewątpliwy w literaturze politycznej rozstrzygnięte. Jako uczestnik ówczesnych wypadków dziejowych pozwolę sobie wypowiedzieć własną opinię, różną od poglądów dotychczas głoszonych.

Przedewszystkiem należy uważać za zupełnie błędną dawną opinję z okresu rozmaitych „orjentacyj" wojennych, jakoby początku niepodległości Polski można było dopatrzyć się w akcie mocarstw centralnych, podpisanym w dniu 4, a ogłoszonym z datą 5 listopada 1916 r. W manifeście tym obaj cesarze oświadczyli, że za ich wspólną zgodą

z obszarów polskich wydartych Rosji będzie utworzone samoistne państwo o ustroju konstytucyjnej dziedzicznej monarchji. Dokładne określenie granic „Królestwa Polskiego“ zastrzegli sobie na przyszłość. Akt taki nie mógł mieć żadnego znaczenia prawno-politycznego już dlatego, że wedle prawa narodów obydwa państwa centralne były tylko chwilowymi okupantami obcego obszaru, nie mogły więc cudzym obszarem rozporządzać. Gdyby były miały rzeczywiście dobrą wolę i stanowcze postanowienie stworzenia państwa polskiego, zjednoczonego z wszystkich zaborów, mogły ogłosić, że uważają rozdarcie Polski za gwałt międzynarodowy, a chcąc naprawić krzywdę Polsce wyrządzoną, ogłaszają, że uznają Polskę w granicach r. 1772 za istniejące niepodległe państwo. Ale o takiej ofierze nikt z polityków państw centralnych nie myślał. Mogły zresztą, jeżeli chciały dysponować tylko obcym obszarem, ogłosić, że jako uczestnicy Kongresu wiedeńskiego z r. 1815 i jego uchwał, uznają Państwo Polskie Kongresowe za istniejące nadal prawnie, ponieważ przekreślenie uchwał Kongresu przez cara i nadanie Królestwu statutu organicznego w r. 1832 było pogwałceniem prawa narodów. W tym wypadku obszar Królestwa Polskiego nie byłby obszarem obcym, lecz obszarem polskim, przywróconym Polsce. Jednakowoż także o wskrzeszeniu Królestwa Kongresowego nie myślały państwa centralne, ponieważ nie tylko nie myślały o przyjęciu dalszych konsekwencyj z takiego stanowiska (wolność m. Krakowa i wolność obrotu dla Polski w granicach r. 1772), ale przeciwnie chciały się wzbogacić kosztem Królestwa Polskiego, zastrzegając sobie na przyszłość określenie jego granic.

Istotne znaczenie miała dopiero proklamacja prowizorycznego rządu rosyjskiego (rewolucyjnego) do narodu polskiego z dnia 29 (16) marca 1917 r., podpisana przez całą radę ministrów z prezesem ks. Lwowem na czele, w której rząd ten, imieniem narodu rosyjskiego, z jarzma uwolnionego, uznaje konieczność utworzenia niezawisłego państwa polskiego z wszystkich obszarów, mających większość ludności polskiej, jako rękojmię trwałego pokoju. Państwo Polskie miało być związane z Rosją unją wojskową, jako wałem obronnym wobec ekspansji państw centralnych przeciw narodom słowiańskim. Naród Polski, wolny i zjednoczony, miał sam zdecydować o swoim ustroju, a zgromadzenie narodowe rosyjskie miało ostatecznie dać sankcję dla utworzenia wolnej Polski z trzech części dotychczas rozdzielonych.

Akt ten, na który w traktacie wersalskim powołały się później mocarstwa, nie stworzył jeszcze niepodległego państwa, z powodu zastrzeżeń, jakie zawierał, oraz z tej przyczyny, że Rosja wówczas nie była w posiadaniu obszarów Królestwa Polskiego, które były pod okupacją państw centralnych. Jednakowoż aktem tym została stworzona prawna podstawa dla utworzenia niepodległego państwa polskiego jeszcze przed zakończeniem wojny, skoro Rosja zrzekała się dobrowolnie pretensyj do posiadania Królestwa Polskiego, a oświadczenie to zostało przyjęte do wiadomości nie tylko ze strony polskiej, rozmaitych kierunków politycznych, ale także ze strony Koalicji zachodniej (Włoch, Anglji, Francji, nakoniec wspólną notą tych państw z 14 kwietnia 1917 do rządu rosyjskiego). Akt ten zresztą przyczynił się także do konsolidacji opinji i dążeń polskich w kierunku zjednoczenia i niepodległości wszystkich ziem polskich i do rozwiania złudzeń nawet w wiedeńskiem Kole Polskiem, które w swej większości, wbrew oporowi ówczesnego prezesa Leona Bilińskiego i partji konserwatywnej, dało się nareszcie przekonać, że należy zaniechać t. zw. orjentacji austrjackiej i pracy nad wyodrębnieniem Galicji, a uznać sprawę polską za sprawę międzynarodową i powierzyć decyzję nad zjednoczeniem wszystkich zaborów przyszłemu kongresowi międzynarodowemu (uchwała majowa z r. 1917).

Dekretem obydwu cesarzy państw centralnych z dnia 12 września 1917 powołana została rada regencyjna jako „najwyższa władza państwowa“ w Królestwie Polskiem do czasu ustanowienia Króla lub Regenta, przy równoczesnem zastrzeżeniu dla mocarstw okupacyjnych ich „międzynarodowego stanowiska prawnego“. Władzę ustawodawczą miała rada regencyjna wykonywać przy udziale rady stanu, jednakowoż we wszystkich sprawach, których administracji władze okupacyjne nie przekazały jeszcze polskiej władzy państwowej, wszelkie wnioski ustawodawcze mogły być traktowane w radzie stanu tylko za zgodą tych władz. W sprawach tych mógł także generalny gubernator państwa okupacyjnego, po wysłuchaniu rady stanu, wydawać rozporządzenia z mocą ustawodawczą. Prawne przedstawicielstwo międzynarodowe Królestwa Polskiego i prawo zawierania umów międzynarodowych mogło być wykonywane przez polską władzę państwową dopiero po zakończeniu okupacji.

Dekrety te nie mogły zasadniczo zmienić prawno-państwowego stanowiska „Królestwa Polskiego“, ponieważ opierały się na dekrecie z 5-go listopada 1916 i zawierały tyle ograniczeń i zastrzeżeń, że „najwyższa władza polska“ była faktycznie podrzędna wobec władz okupacyjnych i wyczekiwać musiała zakończenia okupacji, aby się z pod ich władzy wyzwolić. Mimo to w konsekwensji przyczyniły się one — wbrew intencji ich autorów — do przyśpieszenia państwowości polskiej, która wobec aktu rosyjskiego rządu rewolucyjnego z 29 marca 1917, oświadczeń koalicji zachodniej i wobec wyraźnego brzmienia pierwszego orędzia prezydenta Wilsona do senatu amerykańskiego z dnia 22 stycznia 1917 o powszechnej zgodzie na przywrócenie Polski „zjednoczonej, niezawisłej i niepodległej“, nie mogła już być z żadnej strony kwestjonowana. Przez utworzenie rady regencyjnej powstały pozory najwyższej władzy, które mogły łatwo przeistoczyć się w rzeczywistość z chwilą ustania władzy okupantów. Tak się też istotnie stało, a z tą chwilą powstał w osobach rady regencyjnej surogat rzeczywistej władzy najwyższej w Polsce.

Stało się tak dzięki klęskom armij państw centralnych. W chwili otwarcia parlamentu austrjackiego 2 października 1918, wniosły trzy kluby polskie, demokratyczno-narodowy pod mojem przewodnictwem, socjalistyczny pod przew. Daszyńskiego i Koło Polskie pod przew. Tertila w formie wniosku wspólną deklarację, w której domagały się przywrócenia całego państwa polskiego, bezprawnie rozdartego drogą gwałtu na trzy zabory, i protestowały przeciw wszelkim próbom uważania lub traktowania sprawy polskiej jako sprawy wewnętrznej mocarstw walczących. Uprzedzając zaś ten wniosek, znany mu przed wniesieniem, nowy prezes gabinetu Hussarek w swem zagajeniu zastrzegł się zgóry, że Austrja pozostawi Polsce

zupełną swobodę urządzenia swej państwowości i nie myśli Polsce swej woli narzucać. W dniu 5 października obaj ministrowie spraw zagranicznych państw centralnych, kanclerz niemiecki ks. Max Badeński i baron Burian w odrębnych notach proszą prezydenta Wilsona o wdrożenie rokowań pokojowych na podstawie zasad, sformułowanych przezeń w orędziu z 8 stycznia 1918 i w jego późniejszych deklaracjach, a tem samem uznają i przyjmują art. XIII orędzia, wedle którego „niezawisłe państwo polskie będzie utworzone. Będzie ono obejmować terytorja, zamieszkałe niewątpliwie przez ludność polską z zabezpieczonym wolnym i bezpiecznym dostępem do morza, a niezawisłość polityczna i gospodarcza państwa oraz nietykalność terytorjalna będą gwarantowane traktatem międzynarodowym". Zgodnie z temi oświadczeniami, bez sprzeciwu ze strony państw centralnych, a nawet, jak się później okazało z informacyj pism inspirowanych („*Neue Freie Presse*" i „*Frankfurter Zeitung*") za zgodą okupantów, Rada Regencyjna w Warszawie ogłasza znane orędzie z 7 października 1918, w którem staje na gruncie „ogólnych zasad pokojowych, głoszonych przez prezydenta Stanów Zjedn., a obecnie przyjętych przez świat cały, jako podstawy do urządzenia nowego współżycia narodów", i w tym celu postanawia: „1) Radę stanu rozwiązać, 2) powołać zaraz rząd, złożony z przedstawicieli najszerszych warstw narodu i kierunków politycznych, 3) włożyć na ten rząd obowiązek wypracowania wspólnie z przedstawicielami grup politycznych ustawy wyborczej do sejmu polskiego, opartej na szerokich zasadach demokratycznych i ustawę tę najpóźniej w ciągu miesiąca do zatwierdzenia i ogłoszenia Radzie Reg. przedstawić, 4) Sejm niezwłocznie potem zwołać i poddać jego postanowieniom dalsze urządzenie władzy zwierzchniej państwowej, w której ręce Rada Reg. zgodnie ze złożoną przysięgą władzę swoją ma złożyć". Równocześnie w depeszy z 7-go października 1918 kanclerz niemiecki ks. Badeński zapowiedział „jaknajszybsze usunięcie istniejących jeszcze ciężarów okupacji", a w tym samym dniu generalny gubernator Beseler wystosował do rady regencyjnej pismo, w odpowiedzi na dawniejsze żądanie (z 4-go października), że gotów jest oddać administrację kraju w dobrem porozumieniu co do jej zakresu i terminów oddania z życzeniami rady regencyjnej, nie łącząc tego oddania z warunkami dawniej stawianemi.

Orędzie rady regencyjnej z 7 października 1918 r. było, mimo przeciwne pozory, podyktowane interesem państw centralnych i chęcią rady reg. utrzymania się przy władzy, celem nie dopuszczenia do uznania przez koalicję zachodnią Narodowego Komitetu w Paryżu za rząd polski, o czem świat później otwarcie poinformowały pisma niemieckie. Pomimo to, orędzie to stało się doniosłym twórczym aktem politycznym, albowiem z woli przedstawicieli narodu powstał na podstawie tego aktu pierwszy niezawisły rząd polski i ukonstytuowało się niepodległe państwo polskie. Z początku zdawało się, że nie będzie to możliwe wskutek powszechnej niepopularności rady regencyjnej i braku zaufania do jej polityki w kraju i zagranicą. Miała ona przeciw sobie tak stronnictwa narodowe (komitet międzypartyjny), jak socjalistów i ludowców. W dniu 5 października 1918 w przemówieniu w austrjackiej Izbie Posłów oświadczyłem był, zgodnie z ogólnym nastrojem: „domagamy się, aby dopuszczono naszych przedstawicieli na Kongres międzynarodowy, a tymi przedstawicielami nie mogą być ani rada regencyjna, ani rząd polski, ani mianowani przez niego posłowie. Muszą to być rzeczywiście wolni przedstawiciele, nie zobowiązani pod żadnym względem czy to wobec Rosji, czy Austrji lub Niemiec"...

Wśród takich nastrojów powstała zarówno wśród polityków polskich w Wiedniu, jak w Warszawie, myśl powołania Rady narodowej, jako przedstawicielstwa wszystkich dzielnic Polski i kierunków politycznych, w której ręce rada regencyjna miałaby złożyć swoją władzę. W tym duchu Koło międzypartyjne w Warszawie ogłosiło po dymisji rządu Kucharzewskiego deklarację w dniu 10 października, określającą warunki utworzenia rządu. Tegoż dnia w południe zebrali się w sali magistratu krakowskiego polscy posłowie parlamentarni i wybrali komitet dla opracowania klucza udziału stronnictw w Radzie narodowej w porozumieniu z delegatami Królestwa oraz odezwy do narodu. Zadaniem Rady narodowej miało być zwołanie konstytuanty.

Nim zapadła decyzja stronnictw w sprawie konstytuanty, rada regencyjna starała się wykorzystać swe nieograniczone uprawnienia. Dekretem z 12 października r. 1918 poz. 26, rada regencyjna objęła władzę nad całem wojskiem polskiem i przepisała rotę przysięgi dla wojska, które odtąd miało przysięgać jedynie na wierność i posłuszeństwo Ojczyźnie, Państwu Polskiemu i radzie regencyjnej, jako tymczasowej zastępczyni przyszłej Władzy Zwierzchniej Państwa Polskiego. Tegoż dnia zaprzysiężono w kościele garnizonowym przy ulicy Długiej załogę warszawską wojska polskiego. Również w dniu 12 października ogłoszono w „Monitorze" pismo rady regencyjnej, polecające wdrożyć kroki celem jaknajszybszego przejęcia od władz okupacyjnych wszystkich działów zarządu krajem. Rada ministrów po rozważeniu rzeczy ustalić miała ostateczny termin objęcia administracji przez władze polskie. Na konferencji z szefem zarządu cywilnego niemieckiego, w tymże dniu odbytej, okupanci niemieccy zgodzili się na przekazanie rządowi polskiemu wszystkich działów zarządu cywilnego w ciągu czterech do sześciu tygodni. Niebawem w dniu 15 października nadeszło od władzy okupacyjnej austrjackiej zawiadomienie, że gotowe jest do n i e z w ł o c z n e g o oddania rządowi polskiemu c a ł e j administracji i do zwinięcia zarządu wojskowego jenerał-gubernatorstwa lubelskiego.

W całej Polsce uważano, że już powstało państwo polskie niepodległe, przez nikogo nie kwestjonowane. W dniu 14 października odbyła się w Warszawie wielka manifestacja patrjotyczna obywateli i wojska polskiego. Korpusy wojskowe wszelkich formacyj, pod wodzą swoich jenerałów, przemaszerowały przez ulice miasta i uczestniczyły w kościołach w nabożeństwach dziękczynnych z powodu odzyskania niepodległości, przy powszechnym radosnym entuzjazmie publiczności.

Rada regencyjna zgodziła się na utworzenie Rady Narodowej, ale tylko w charakterze ciała doradczego rady reg. i powierzyła Januszowi Radziwiłłowi misję utworzenia koalicyjnego gabinetu. Koło międzypartyjne nie zgodziło się na tę kandydaturę ze względu na to, że J. Radziwiłł był współautorem i współwinnym haniebnej deklaracji rządu Steczkowskiego, odrzucającej deklarację koa-

licji zachodniej w sprawie przywrócenia wolnej i zjednoczonej Polski. Rada regencyjna zaprosiła telegraficznie polskich posłów parlamentu austrjackiego do Warszawy „dla ważnych konferencyj“. Równocześnie, ubiegając decyzję stronnictw w sprawie powołania Rady Narodowej, rada regencyjna ogłosiła w dniu 15 października 1918 poz. 24 Dz. Praw dekret, wedle którego „do czasu powstania Sejmu Konstytucyjnego na zasadach wskazanych w orędziu z 7 października 1918, rozporządzenia z mocą ustawy będą wydawane przez nas pod odpowiedzialnością Rady Ministrów. Tracą one moc obowiązującą, o ile nie będą przez Rząd przedstawione na pierwszem posiedzeniu najbliższego Sejmu dla uzyskania Jego sankcji“.

Przywódcy klubów polskich, jako członkowie wspólnej delegacji austrjackiej, złożyli na posiedzeniu delegacyj z 16 października oświadczenie, że deklaracja stronnictw polskich złożona w dniu 2 października 1918 w parlamencie, jest jedyną polityczną postawą narodu polskiego w monarchji, że od tej chwili uważają się za obywateli wolnego, zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego. Oprócz tej deklaracji wniosłem w tymże dniu żądanie utworzenia komisji likwidacyjnej polsko-austrjacko-węgierskiej dla przeprowadzenia likwidacji stosunku do Polski, jaknajrychlejszego zniesienia okupacji i oddania Galicji i Śląska na rzecz Polski. Wobec wyników wojny i stanowczej postawy delegacji polskiej, Austrja zrezygnowała z widoków na Polskę. Manifest cesarski z 16 października 1918 zapowiedział „przeistoczenie Austrji na państwo związkowe, w którem każdy naród, w granicach swego osiedlenia, tworzyć będzie własny organizm państwowy. Nie przesądza to bynajmniej zjednoczenia polskich terytorjów Austrji z niezależnem państwem polskiem“. Jakoż na konferencję przedstawicieli narodów austrjackich w tej sprawie, Polaków z Małopolski wcale już nie zaproszono.

(D. c. n.) STANISŁAW GŁĄBIŃSKI

HISTORIA DOCET...

KAŻDY wie, że niebezpieczeństwo „terytorjalne“ grozi nam ze strony Niemiec, już obecnie oficjalnie, i że w Polsce posiadamy, nieliczną wprawdzie, „mniejszość niemiecką“. „Mniejszość“ ta jest wpływowa, t. zn. posiada większe znaczenie w Polsce, niż z cyfry ludności niemieckiej to by wynikało. Różne fakty zdają się niewątpliwie wskazywać na to, że ta mniejszość stara się gwałtownie uzyskać jeszcze większe wpływy drogą wciskania się do szeregów tak opozycji jak i stronnictw rządowych, a przedewszystkiem do służby rządowej w najszerszem tego słowa znaczeniu. Przy znacznym t. zw. etatyzmie w obecnych czasach, wydaje się to być rzeczą wcale łatwą. Trudno przypuszczać, aby wszyscy starający się o takie wpływy czynili to pod batutą z Berlina; jest jednak rzeczą zupełnie pewną, że jakaś ich liczba tym wskazówkom ulega i pod ich wpływem postępuje. Wykazały to zresztą procesy (*Volksbund*). Jednostki „mniejszościowe“, nie działające w myśl wskazań berlińskich, nie są jednak elementem bardzo pewnym, ponieważ łatwo mogą się dać także pokierować w danym razie przez czynniki, państwu polskiemu wrogie i usiłujące je obalić a przynajmniej osłabić. Do tego dołącza się jeszcze jeden moment, mianowicie — żydzi. Nie mam zamiaru uważać wszystkich żydów za wrogów i zdrajców państwa polskiego, ale dzieje nas nauczyły, że w polskich powstaniach i wojnach więcej było żydowskich zdrajców i szpiegów, aniżeli Berków Joselewiczów, a więcej bundowców i tych, co w Radzyminie, Siedlcach i Białymstoku dobrowolnie walczyli z armją polską, aniżeli tych, co jej dobrowolnie pomagali w wojnie bolszewickiej. To też i żydów należy włączyć do niepewnego elementu mniejszościowego, który ulega już to Niemcom, jak tośmy się dowiedzieli w czasie okupacji niemieckiej, jużto bolszewikom, jak to wynika z ich roli w czasie wojny bolszewickiej. Mogą zatem zajść takie okoliczności, że i żydzi pójdą tam, gdzie będzie wskazywać ręka—z Berlina. Wszystkie te względy wzywają zwłaszcza rząd i stronnictwa rządowe do nader starannego wyboru swoich funkcjonarjuszy w najszerszem tego słowa znaczeniu, i do pilnego baczenia, aby brać tylko elementy najzupełniej pewne.

Jest także tajemnicą poliszynela, że ukraińcy cieszą się protekcją Berlina i że nawet sabotaż w województwach południowo-wschodnich nie był bez cichego patronatu tych, co chcieliby jak najprędzej wywrócić państwo polskie, albo przynajmniej je obrabować z ziem prapolskich, prapiastowskich. W Berlinie przecież rezydował do niedawna Konowalec i do Berlina uciekli białoruscy posłowie wrodzy Polsce (Rak-Michałowskij i towarzysze).

Jak z powyższego przeglądu wynika, wrogi Polsce i dybiący na jej całość Berlin może działać w obrębie granic państwa polskiego przez następujących pomocników: 1) mniejszość niemiecka; 2) mniejszość żydowska, t. zn. ci wszyscy żydzi, którzyby w danych warunkach byli gotowi z Berlinem się pogodzić, a czyż są tacy żydzi, którzyby nie byli w danych warunkach do tego gotowi? Osobiście wierzę nawet, że są, ale liczni? 3) znaczna mniejszość ukraińskich separatystów, jak również białoruskich.

Do tych czynników dołączają się wpływy niemieckie na Litwie. Sympatje litewsko-niemieckie doprowadziły do tego, że Litwini, którzy uratowali poprostu swoje etniczne istnienie dzięki przymierzu z Polską i których właśnie to przymierze uratowało od losu, zgotowanego przez Niemców krzyżackich ich najbliższym krewniakom, Staro-Prusom, w dzisiejszych Prusach Wschodnich, że ci Litwini czują większą niechęć do Polski, niż do Niemców i z tymi ostatnimi wiążą się przeciw Polsce! Zatem i oni nie są pewni i oni mogą być użyci przeciwko całości państwa polskiego, o czem zresztą mamy ciągle oficjalne zapowiedzi, począwszy od czasu Waldemarasa.

W wieku VIII tendencje rozwojowe państwa niemieckiego szły na zachód, południe oraz południowo-wschód. Następnie w wieku IX i w wiekach następnych front rozwojowy niemiecki uległ przekształceniu na kierunek północny oraz wschodni. Granica niemiecka polityczna, a za nią i etniczna, poczęła się posuwać ku północy i wschodowi, osiągając swój najdalszy zasięg w r. 1914. Była ona

kilkakrotnie zatrzymywana w swym pochodzie przez Polskę, mianowicie w wiekach X i XI, w XII—XV oraz obecnie w wieku dwudziestym. Skutkiem germanizacji Słowian lechickich i łużycko-czeskich skład ludności niemieckiej uległ zasadniczej zmianie; cała bowiem przestrzeń na wschód od linji mniej-więcej Soła (Saal) — Łaba (Elbe) jest wyłącznie albo przeważnie pochodzenia słowiańskiego t. zn. czesko-łużyckiego, lechickiego, lechicko-polskiego albo wprost polskiego lub pomorskiego. Nie trzeba dodawać, że potęga niemiecka w Europie wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby ta cała masa słowiańska nie uległa wynarodowieniu t. j. germanizacji, ale utrzymała się po dziś dzień, jako stosunkowo wrogi dla Niemiec element.

Jest rzeczą nader interesującą i ciekawą śledzić, w jaki sposób Niemcy opanowywali te ziemie słowiańskie, w jaki sposób łamali opór szczepów słowiańskich, bezpośrednio sąsiadujących z nimi, aby następnie, złamawszy bliższych, łamać kolejno dalszych i powoli zamieniać ich w Niemców. Można powiedzieć, że środkiem, używanym zawsze i po wszystkie czasy, było podburzanie jednych przeciwko drugim i osłabianie w ten sposób jednych i drugich. Wiadomo także, że największą złością napełniało Niemców to, gdy im się taki posiew dyskordyj pobratymczych nie udawał, jak to miało miejsce z Polską i Litwą w okresie unij.

Mimo tego, że dzisiejsi Niemcy, zwłaszcza wschodni, to właściwie potomkowie Słowian i antropologicznie rzecz biorąc są oni bliżsi nam, aniżeli np. Niemcom z Tyrolu, Bawarji lub z nad Renu, to jednak tradycyj słowiańsko-lechickich nie mają żadnych, uważają się za „*Urgerman*" (!) i dumni są z tego dzieła germanizacji zachodnich ludów słowiańskich, uważając to za „*Grosstat des deutschen Volkes*". Na tej zasadzie i dalsze germanizowanie słowiańskiego wschodu uważają za swoją misję dziejową. Tym dalszym wschodem słowiańskim jest właśnie obecnie Polska i z tego tytułu wszelkie poglądy Niemców, dotyczące tej sprawy, a wyciągane przez nich ze studjów historycznych, są dla nas pierwszorzędnej wagi, bo rzucają światło na zamiary i metody niemieckie w stosunku do nas. Niedawno np. wyszła książka, przeznaczona dla wielkich mas w serji „*Aus Natur. u.—Geisteswelt*" *Band 731. Der Zug nach dem Osten, die kolonisatorische Grosstat des deutschen Volkes im Mittelalter* von Prof. Dr. K. Hampe. *Teubner. Leipzig u. — Berlin 1921*, str. 108.

Nie pora tu i miejsce omawiać całokształt zagadnień, które rozwija K. Hampe; stanie się to gdzieindziej, w naukowem czasopiśmie, wydawanem przez Instytut Zachodnio-słowiański przy Uniwersytecie Poznańskim „*Slavia Occidentalis*" t. X. Tu chciałbym tylko podkreślić te zdania Hampe'go, które w danym związku szczególnie nas mogą zainteresować, mianowicie te, które charakteryzują posługiwanie się przez Niemców pewnemi elementami w celu rozwalania państw i społeczeństw słowiańskich. Tak np. na str. 35 mówi Hampe: „Uprzywilejowanie niemieckich duchownych i klasztorów przez uchrześcijanionych panujących, którzy w nich szukali oparcia przeciwko powstaniom pogańskiej jeszcze przeważnie ludności, wysuwa się tu na pierwszy plan. Potem owi panujący poczęli sprowadzać z sąsiednich terenów państwa niemieckiego coraz to liczniejszych hołdowników z niemieckiej szlachty, na których obronie mogli o wiele bardziej polegać, aniżeli na obronie rodzimej szlachty słowiańskiej... Ten przyjazny stosunek obcych panujących, zagrożonych często przez własną swoją rodzimą szlachtę, jest stałą cechą całego ruchu niemieckiego na wschód; coś podobnego zauważamy u Piastów śląskich, u Przemyślitów czeskich, u Arpadów węgierskich oraz gdzieindziej". A zatem rzecz się miała tak:

Rodzimi książęta słowiańscy nie chcieli, czy też nie umieli zgodnie ze swym ludem wkraczać w nowe epoki rozwoju dziejowego. Skutkiem tego działali nie z nim, ale mimo niego, a czasem nawet przeciwko niemu. Takie postępowanie miało ten skutek, że się nie czuli bezpieczni w obrębie własnej szlachty i w obrębie własnego ludu; musieli się tedy opierać na sprowadzanych Niemcach, dając im różne przywileje. To doprowadziło do oddzielenia i izolacji książąt i ludu słowiańskiego, a następnie do germanizacji kraju; książęta zaś rodzimi zamiast stać się bohaterami dla własnego ludu, stali się jego zdrajcami i sprzedawczykami. Nawet śląscy Piastowie nie umieli się uchronić od tej hańbiącej roli. Jakże inaczej pokierował uchrześcijanieniem Polski Mieszko I oraz Bolesław Chrobry! Ci działali zgodnie z własnym ludem i dlatego nietylko uchronili Polskę od germanizacji, ale stali się jej bohaterami, założycielami potęgi nowego chrześcijańskiego państwa! Tkwi w tem wieczysta przestroga dla wszystkich panujących oraz rządzących. Lepiej bowiem nie być bohaterem, niż stać się zdrajcą dla własnego ludu, upierając się przy bohaterskości.

Co się tyczy zastosowania tych historycznych wskazówek do dzisiejszego stanu w Polsce, to warto podkreślić następujące zjawiska w r. 1920. Polska okazała się za słaba do sformowania jakiegoś państwa ukraińskiego z centrum w Kijowie. Dzisiaj stosunki pod tym względem uległy jeszcze dalszemu pogorszeniu, przedewszystkiem z powodu wielkiego wzmocnienia Niemiec i znikającej coraz bardziej izolacji Sowieckiej Rosji. Z doświadczeń zaś roku 1920 wiemy bardzo dobrze, że pochód polski na Kijów stawał się cementem, który spajał nawet monarchistów rosyjskich z komunistami w najodleglejszych zakątkach syberyjskich. Obecnie ta sprawa o tyle jest aktualna, że ukraińscy separatyści z „Diła", to zn. ci, którzy są związani z Berlinem, pokazali miraż ugody polsko-ruskiej — w Kijowie. Może to tylko zwykły kawał, aby wyłudzić od rządu wypuszczenie na wolność sabotażystów i spiskowców antypaństwowych, ale może to i propozycja, która ma źródła w — Berlinie, marzącym stale o zajątrzeniu coraz większem stosunków pomiędzy Rosją a Polską.

Przypuszczenie to o tyle ma rację, że wszelkie zatargi polsko-rosyjskie tylko ułatwić mogą Niemcom zagarnięcie ziem polskich, przedewszystkiem Pomorza, a przez to i zduszenie Polski. Od czasów zaś relacji ś. p. Franciszka Salezego Krysiaka wiemy, że separatyści ukraińscy bywają — narzędziem Berlina. Byłoby to zresztą w myśl omówionych wyżej tradycyj niemieckich, polegających na tem, aby bezpośrednio przez niemczyznę wojującą atakowane plemiona wzgl. państwa słowiańskie (w danym razie Polskę) kłócić z dalszemi plemionami wzgl. państwami słowiańskiemi (w danym razie z Rosją) i w ten sposób ułatwiać sobie zadanie zduszenia jednych przy pomocy tych, na których germanizowanie jeszcze pora nie nadeszła. Gdyby

się tak chytry pomysł udał, to Ukraińcy byliby też tylko—narzędziem w dosłownem tego terminu znaczeniu.

Drugi sposób niszczenia państw i społeczeństw słowiańskich, który tak dobrze scharakteryzował Hampe, polegał na tem, że Niemcy wciskali się pomiędzy słowiańskich rządzących i rządzonych, izolując w ten sposób i jednych i drugich. Rozrastając się coraz bardziej w tak powstałej szczelinie, jak jakiś grzyb, absorbowali ostatecznie całość. Trzeba zauważyć, że coś podobnego zaznacza się w Polsce, t. zn. na razie tylko tendencja w tym kierunku. W wyborach ostatnich np. Niemcy dołączali się do partji rządowej tam, gdzie nie mieli widoków na przeprowadzenie swoich kandydatów; w niektórych wypadkach Niemcy-hakatyści powstępowali do „Strzelca“, starając się w nim zająć stanowiska w zarządzie. Jeszcze dokładniej stosują tę metodą żydzi, którzy już dali poglądową lekcję swojej polityki w byłym zaborze austrjackim, jak to, kupując głosami wyborczemi coraz to nowe koncesje szynkarskie i nieszynkarskie, można powoli opanowywać całe społeczeństwo, poczynając od jego zasobów materjalnych. A przecież głosy żydowskie nie uratowały wpływu politycznego konserwatystów krakowskich; nie mając oparcia w społeczeństwie polskiem, wpływy te zawisły w powietrzu i zupełnie zmarniały. Nawet kupowanie różnych radykałów nie pomogło... *Historia docet...*, błędów jej nie należy powtarzać. A na ruchy i tendencje mniejszości, zwłaszcza niemieckiej i tej, która może być z ośrodkiem niemczyzny wojującej związana, należy bacznie patrzeć i oczy mieć ciągle otwarte z niezwykłą pilnością i wytwałością. Szczególnie wdzięczną rolę mogłyby objąć „mniejszości“. kierowane z Berlina, gdyby w Polsce wprowadzono powszechne wybory na Prezydenta! Wtedy każdy wybraniec musiałby opłacać Niemcom, Żydom i Ukraińcom haracz koncesyj i ustępstw!

Jest to dziwne historjozoficzne zjawisko, że Niemcy, którzy tak wielką rację przywiązują do swej „pragermańskości“ i do swej jakoby czysto nordyjskiej rasy, płoną taką żądzą zanieczyszczania jej właśnie przez germanizowanie mniej wartościowych, ich własnem zdaniem, elementów słowiańskich, a w szczególności polskich, do których uczuwają specjalnie wielki wstręt i niechęć! Jest to zjawisko, którego na razie nie umiem sobie dziejowo i psychologicznie wytłumaczyć! Jest ono jednyk zupełnie niewątpliwym faktem i nawet sam K. Hampe, chwalca tego germanizowania, wydaje się mieć nazwisko pochodzenia słowiańskiego, a co za tem idzie i sam zapewne pochodzi ze zgermanizowanych Łużyczan, Polaków, Lucicćw, Pomorzan albo Obotrytów. Byłby zatem lechitą z pochodzenia, t. zn. najbliższym (językowo) krewniakiem polskim! Nazwisko bowiem *Hampe* da się pojąć jako lechickie *Chąpa*=*Champa* t. zn. z *a* nosowem. Takby ono brzmiało np. w dialekcie śląskim, pomorskim (kaszubskim) lub wielkopolskim w dawniejszym okresie. W polskim języku literackim dzisiejszym brzmiałoby ono *Chępa* i stałoby w bliskim związku z takiemi nazwiskami czysto polskiemi, jak *Chępiński*, pisane też *Chempiński*, *Hempowicz*, *Hempel*, któreby właściwie należało pisać — z powodów językowych—*Chępowicz*, *Chępel* i t. p. Wynika stąd, że i *Hampe* przedstawia właśnie jako jednostka to zjawisko, które jest widoczne np. u zniemczonych Pomorzan lub Polaków, wykazujących szczególnie wielką żądzę germanizowania dzisiejszych Polaków i zniszczenia państwa polskiego!

MIKOŁAJ RUDNICKI

RYSZARD WAGNER I POWSTANIE LISTOPADOWE

STOSUNEK Wagnera do Polski, jakkolwiek zupełnie epizodyczny, jeżeliby chodziło o osobiste jego intencje, poruszany był niejednokrotnie w naszej literaturze i prasie z powodu wykonywania uwertury jego „Polonia“, wprowadzonej na nasze estrady koncertowe w sezonie 1907—1908. Przy tej sposobności wspominano za każdym razem o rzekomym zamiarze Wagnera skomponowania opery, której bohaterem miał być ni mniej ni więcej tylko — Tadeusz Kościuszko. Autorem pomysłu tego był poeta Laube, Wagner jednakże odrzucił myśl o polskim wodzu stanowczo, czemu dziwić się nie można, bo jakkolwiek w owych czasach nie wytknął był sobie jeszcze szczegółowo przyszłych swych dzieł, to przecież przekonanie, którą ma wybrać drogę, już się w nim ustalać zaczęło, drogę zaś tę wskazywały mu, jak wiadomo, podania z odległej przeszłości, przeważnie germańskie. Inna to rzecz, jeżeli mamy mówić o sympatji jego do Polski. Wprawdzie dzisiejszy wrogi stosunek Niemiec do nas niezupełnie dopuszcza myśl o przyjaznych uczuciach, z jakiemi zwracano się nad Elbą czy Elsterą do naszego powstania, niemniej jednak jako ruch wolnościowy znajdowało ono tam gorących zwolenników, a ówczesna poezja, literatura powieściowa i dramat, nastrajały się nierzadko do hymnów i elegij oraz zajmowały się losami ofiar naszych walk i późniejszej tułaczki. Byłoby też rzeczą niezrozumiałą, gdyby i na obszarach sztuki muzycznej nie pojawiały się analogiczne znaki tego zainteresowania się polską rewolucją. Wszak muzyka, chociażby i nie była w stanie tak wyrażać uczuć, jak jej to przypisywano ogólnie, jest jednakże niewątpliwie sztuką współczucia.

Ryszard Wagner największy wyznawca tezy o współczuciu (uważał je za najgłówniejszy czynnik psychologiczny u kompozytora), nie byłby sobą, gdyby życie jego własne nie miało stwierdzić tego faktu. To też za naturalną rzecz musimy uważać cały stosunek jego do Polski i tych uczestników powstania, którzy zetknęli się z młodym, wówczas zaledwie 18-letnim muzykiem w Lipsku. W dalszem życiu stał się on doktrynerem w swych poglądach na sztukę, filozofję i społeczeństwo, ale w zaraniu lat swoich nie mógł być czem innem jak młodzieńczą naturą, ulegającą łatwo wrażeniom, gotową każdej chwili uczucie zmienić w czyn.

Pamiętniki Wagnera („*Mein Leben*“), wydane po śmierci jego, zatrzymują czytelnika stosunkowo dość długo przy tym epizodzie lipskim. Mimo swego młodego wieku, przyszły autor „Pierścienia Nibelungów“ zajmował się polityką, z tą samą żywością,

jaka go cechowała na każdym kroku. Oto, co mówi on sam o tym okresie swego życia:

„Moje krótkie, lecz namiętnie przeżywane lata studenckie, pochłonęły we mnie na jakiś czas nietylko myśl o kształceniu się artystycznem, lecz nawet o wszelkich poważnych rzeczach świata i ducha Dopiero wówczas, gdy się obudziło we mnie zainteresowanie politycznemi zajściami (muzyka oczywiście zajmowała mnie zawsze bez przerwy) powstał we mnie po raz pierwszy jakiś wstręt do bezmyślnego, pełnego hulanek, studenckiego życia. W niedługim czasie przeszło ono bezpowrotnie, jak sen jaki przelotny. Walka o niepodległość, prowadzona przez Polskę przeciw rosyjskiej przemocy, napełniła mnie entuzjazmem, wzrastającym nieustannie. Powodzenia osiągane przez krótki czas w r. 1831 przez Polaków, wprowadzały mnie w stan podziwu i ekstazy, zdawało mi się, że świat cudem powstał na nowo. Ale też wiadomość o klęsce pod Ostrołęką pogrążyła mnie w całkowite zwątpienie, myślałem, że teraz zapadł się on już doszczętnie. Tymczasem, moi koledzy studenci przyjmowali te smutne wiadomości w sposób brutalny i złośliwy, uszom swym wierzyć nie chciałem. Taka to już straszna i ciemna strona charakteru moich rodaków! Zupełnie na zimno, bez szczypty humoru upijać się i długi robić, w tem cała ambicja moich kolegów leżała, stojąc na równi z odwagą w pojedynkach. Wobec tego ówczesnego zepsucia studentów, szlachetniejsze znaczenie niemieckich burszenszaftów nie mogło mi się jeszcze objawić. Odczuwałem jedynie oburzenie na te obrażające mnie nauczki, które wysłuchiwać musiałem, po wyrażeniu głębokiej mej żałoby z powodu klęski pod Ostrołęką. Muszę tu na własną pochwałę powiedzieć, że mnie takie i tym podobne wypadki na zawsze zniechęciły do studenckiego życia. To też usunąłem się z tego środowiska, a całą namiętność moją przeniosłem na dzienniki, dostarczające wiadomości z pola walki. Czytywałem je w kawiarni Kintschego przy Klostergasse. Tu schodziło się wielu starszych ludzi, jednakowo usposobionych ze mną, których polityczne dyskusje zajmowały mnie niezmiernie. Mój udział duchowy w przebiegu wypadkow w Polsce nie zmieniał się. Oblężenie i upadek Warszawy odczułem jako osobiste własne nieszczęście. A kiedy później ujrzałem resztki polskiej armji w drodze do Francji, wywarło to na mnie wrażenie nieopisane“...

Następnie opowiada Wagner jak podziwiał przedstawicieli powstania, gdy się pojawili w foyer *Gewandhaus* podczas koncertu. Hr. Wincenty Tyszkiewicz w szczególności zajął go w wysokim stopniu bystrością swego umysłu a niemniej bohaterską i zarazem wielce wytworną postacią. Była to przewodnia gwiazda zgromadzonych w Lipsku. Powoli rozpraszali się oni po świecie. Razu pewnego, zebrano się w pewnej zamiejskiej restauracji, w celu uczczenia rocznicy Konstytucji 3 go maja. Wagner z dumą wspomina o tem, że został zaproszony na tę ucztę jako jeden z młodych ludzi, najgoręcej oddanych sprawie polskiej w Niemczech. Nazywa ten wieczór ogromnie wzruszającym. Orkiestra przygrywała pieśni polskie ludowe i patrjotyczne, emigranci śpiewali je, Zan na ich czele. Pieśń o 3 maju miała zrobić wstrząsające wrażenie i wywołać nieopisany entuzjazm. Smutek z radością połączyły się w jedno, zapanował zgiełk, z którego wyłaniało się nieustannie słowo Ojczyzna (w pisowni Wagnera „Oiczisna“) aż wreszcie wszyscy biesiadnicy podzielili się na grupy, dyskutujące o sprawach swej walki. „Sen tej nocy” — pisze dalej Wagner — „przybrał w mej wyobraźni formę kompozycji orkiestralnej w rodzaju uwertury, zatytułowanej „Polonia“.

W pamiętniku poświęca Wagner nadto jeszcze parę stronic przyjacielowi swojemu, hr. Tyszkiewiczowi, ważniejszą jednak niż inne, jest wiadomość, dotycząca „Polonii“, kompozycji wyrosłej na gruncie rewolucyjnym, a łączącej nasze melodje w jedną obszerną całość. Bo zaiste trudno o dziwniejszy na pierwszy rzut oka obraz, jak ręka twórcy „*Meistersinger*’ów“, spisująca na papierze nutowym polskie mazurki i marsze!...

Uwertura przeleżała w zapomnieniu długie lata, aż dopiero w r. 1881 wydobył ją Wagner i uzupełniwszy nieco jej instrumentację, wykonał publicznie podczas pobytu swego w Palermo. Zawdzięczała to ona niewątpliwie swym łatwo przystępnym dla ucha włoskiego melodjom. Zabiegi, czynione ze strony polskiej, aby ją u nas usłyszeć, były nierzadkie, spotykały się jednak z odmową rodziny, która po śmierci mistrza (1883) przechowywała ten utwór w archiwum willi Wahnfried. Gdy w roku 1904 zwróciłem się w Bayreucie do Glasenapa, biografa Wagnera, a kuratora zbiorów tamtejszych, nie chciał się zgodzić na wypożyczenie nut (w celu wykonania uwertury we Lwowie), usprawiedliwiając odmowę niedalekiem ogłoszeniem kompozycji w druku, co też stało się nareszcie w roku 1907. „Polonia“ ukazała się światu, lecz jako utwór młodzieńczy, inspirowany chwilą, przeszła w Europie bez wrażenia. Bo czemże innem mógłby być utwór tego rodzaju dla obcych, do których ani tematy ani myśl gloryfikacji powstania polskiego przemówić nie mogły z dostateczną siłą.

Uwertura trzyma się beethovenowskiej formy. Rozpoczęta patetycznem Adagio w C-moll, zwraca się naprzód ku Mazurkowi 3-go maja, a następnie przechodzi w motywy „Litwinki“ Kurpińskiego i pieśni „Jeszcze Polska“, z której jednak wprowadza tylko część melodji środkową. Fraza ta rośnie następnie z nadzwyczajną siłą, przypominającą żywo podobne zwroty u Beethovena. Potem powracają tematy poprzednie i uwertura kończy się kodą, zbudowaną wspaniale, imponująco, jakgdyby z wiarą w jakąś wielką przyszłość polskiego narodu. Dr. Jachimecki, opisując w swej monografji tę uwerturę, czyni uwagę, że dziwnym zbiegiem okoliczności, rodzina Wagnera ogłosiła drukiem „Polonię“ w tej właśnie chwili, kiedy rząd niemiecki największe wywierał represje w W. Ks. Poznańskiem. Pewności żadnej niema oczywiście, czy uczyniono to z myślą, że ów wolnomyślny, rewolucyjny, młodzieńczy Wagner powinien się w takiej chwili odezwać z za grobu. Ale jest natomiast całkowita pewność, że na szowinizmie pruskim nie wywarło to żadnego wrażenia. Podobnie i dziś niktby tam Wagnerowi słuszności nie przyznał.

Co w latach późniejszych autor „Parsifala“ myślał o entuzjazmie swej młodości dla sprawy polskiej, o tem nic nie wiemy, ale natomiast wiemy napewno, że chociaż w znaczeniu artystycznem „Polonia“ nie stanęła na równi z innemi arcydziełami jego, to dla nas pozostanie ona zawsze pięknym pomnikiem szlachetnych uczuć wielkiego człowieka.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

NA WIDOWNI

Rozmowy między przyjaciółmi. — „Państwo to my, a reszta to zdrajcy stanu". — Maska o szminkach. — Manjery „maksymalistyczne". — Bezidcowość a technika polityczna. — Rękawiczki i pętelka. — Co mamy do wyboru.

JEDYNĄ grupą w społeczeństwie, która się ściśle i całkowicie zsolidaryzowała ze sprawą brzeską, jest obóz przewrotu majowego, mający swoje organy w „Gazecie Polskiej" (do niedawna „Głos Prawdy") i w „Przedświcie". Duchowni marjawiccy również bez zastrzeżeń pochwalili to „posunięcie" na terenie walki ze społeczeństwem. „Gazeta Polska", dodając ducha swemu obozowi w okropnej sytuacji moralnej i politycznej, wywołanej przez ujawnienie wnętrza tej sprawy, zajmuje się oskarżaniem po kolei wszystkich, którzy z obozem tym walczą, o „działanie na niekorzyść Państwa". Najgorzej na tej obronie złej sprawy wychodziłoby samo Państwo, bo z tej formuły „Państwo to my, a reszta to wrogowie jego" — wynika, że Państwo ma oparcie w kilkudziesięciu jednostkach. Każdy widzi groteskowość tej pretensji i fałsz, brzmiący w wołaniu o zdradzie stanu.

Największy żal „Gazeta Polska" żywi do Polskiej Partji Socjalistycznej. W artykule „Dawniej — a dziś" (nr. 354) daje upust całej goryczy, jaka się w sercu przyjaciół i towarzyszy dawnych przygód nagromadziła. Warto przysłuchać się tym porachunkom: społeczeństwo doczekało się wreszcie, że między przyjaciółmi doszło do rozmowy na tematy... moralności. A zdawało się im, że takie tematy nigdy nie będą realne, że należą do dziedziny legend i zabobonów.

Najcięższy zarzut sanacyjnej „Gazety Polskiej" jest ten: „Członkowie PPS sprzeniewierzają się ideałom legjonowym". Ten zarzut wprowadza nas *in medias res*. Dowiadujemy się teraz od przyjaciół zwaśnionych, że PPS była zawsze „ekspozyturą jednej z międzynarodówek". Zapominało się o tem, póki tam była „frakcja rewolucyjna", w czasie rewolucji i potem, kiedy socjaliści „w czasie wielkiej wojny — śpieszyli do legjonów". „Sanacja" darowała im wiele win za czasów niepodległości, mianowicie „cynizm klasowy", który „poderwał sytuację gospodarczą Polski", „demagogję w domaganiu się świadczeń socjalnych". Ale zaszły rzeczy, których już nie można było darować, mianowicie „kooperacja parlamentarna PPS z resztą klubów sejmowych" i „oportunizm w stosunku do najzupełniej obcych sobie kierunków"... PPS — i tu jest zarzut najcięższy — „zaczyna solidaryzować się z t. zw. większością. Sprawa organizacji naczelnych władz wojskowych jest tego wymownym przykładem". Sprzeniewierzając się „ideałom legjonowym", PPS zaczyna popierać rządy koalicyjne...

A więc tu dopiero — według „Gazety Polskiej" — poczyna ujawniać się brak patrjotyzmu PPS; nie wtedy, gdy okazywała cynizm klasowy, lecz wtedy, gdy przyczynia się do stwarzania większości w parlamencie i liczy się z t. zw. „większością społeczeństwa". Wtedy — czytamy dalej — „schodzi z niego (niej?) szminka patrjotyzmu". Wobec tego patrjotyczna Frakcja (Moraczewski) zrywa z PPS., która odtąd staje się „warownią antypaństwowych dążeń". Zaczynają się zbrodnie: PPS „szuka przeciwko rządom największego męża Polski — oparcia w zawsze nikczemnie probującej Go zwalczać endecji".

Odtąd idzie coraz gorzej, PPS, tocząc się po pochyłości, szuka sprzymierzeńców zagranicą:

„dochodzi wreszcie do planowanego zamachu na życie Marszałka, a szaleńcy zaczynają mordować przeciwników politycznych. To naturalna konsekwencja całej roboty edukacyjnej, uprawianej przez obecnych chorążych „Robotnika". W wolnej Polsce powrócili oni do „bojówek" i na nich opierają swoje dążenia polityczne"..,

To samo, że dziennik sanacyjny ze zgorszeniem mówi o „bojówkach", jakby ich nie widział po swojej stronie, a potem z namaszczeniem o „niemoralnym do gruntu" rzekomym sojuszu PPS z endecją — daje już miarę, w jak mroczne i beznadziejne otchłanie zakłamania i obłudy dostali się bojownicy przewrotu majowego. Sytuacja zaiste rozpaczliwa, skoro ludzie, opierający wszystko na założeniu, że mogą się nie liczyć z niczem, apelują teraz — do kogo? — do opinji publicznej w walce z PPS:

„Partja ta staje w szeregu sił jawnie rozkładowych, stosunek do których (jaka gramatyka!) ogół polski musi kategorycznie określić. Wszelkie stare iluzje co do szlachetności i patrjotyzmu panów z „Robotnika" muszą się skończyć"...

„Ogół polski" dobrze się przypatruje od lat 25 bojówkom, szminkom i maskom, więc gdy człowiek w masce wypomina drugiemu szminkę, to ten „ogół polski" wie, co o tem myśleć. Nawet miło mu posłuchać, jak dawni przyjaciele i ludzie *eiusdem farinae* rozmawiają teraz o patrjotyzmie i — moralności i jak się odwołują do „ogółu polskiego", do narodu idjotów, aby określał swój stosunek do „sił jawnie rozkładowych".

Ogół polski ma w świeżej pamięci, że w czasie ostatnich wyborów na ulicach Warszawy i po miastach, gdzie odbywały się wiece, był świadkiem działań takich samych bojówek, jak te, które szerzyły spustoszenie w r. 1904 — 06. Wie doskonale, kto je organizował. Bardzo pomocne jest naszej pamięci wydawnictwo „Niepodległość", które historję tych lat upamiętnia. W prospekcie tego wydawnictwa zamieszczono fotografję z r. 1896 sześciu przyjaciół socjalistów, z których paru zajmuje dziś w Polsce wysokie stanowiska. Jeszcze w r. 1929, kiedy ten prospekt wyszedł, chwalono się jednością swoją, a „Gazeta Polska" ogłosiła w 25-lecie demonstracji na placu Grzybowskim serdeczne wspomnienia.

„Gazeta Polska" zapomina, że „ogół polski" już wtedy miał odmienny pogląd na celowość polityczną i godziwość środków rewolucji, dokonywanej zapomocą bojówek, a nadewszystko na charakter nienarodowy tego ruchu. Jest nieuczciwością historyczną wmawianie w opinję, że barwił rewolucję rumieniec patrjotyczny. Była to szminka. W pierwszym zeszycie „Niepoległości" p. Żukowski zeznaje, jak go uczono idei rewolucyjnej: „Nam robotnikom nie potrzeba króla polskiego, ani rosyjskiego. Nam potrzeba poprawy naszego losu" (s. 115). Był to jednocześnie ruch przeciwko t. zw. „szowinizmowi" polskiemu, to znaczy poprostu patrjotyzmowi. Ponieważ nic w umysłach tego pokolenia rewolucjonistów się nie zmieniło, więc nie dziwimy się, że dzisiaj nawet ci, co kłócą się z socjalistami, nie umieją używać wyrazu „patrjotyzm" i za największą hańbę socjalistów poczytują to, że liczą się z większością narodową.

Można sobie wyobrazić, jak trudno przy takim zamęcie w duszy obmyśleć program politycznych rządzenia i dobierania środków. To też widzi-

my, że ludzie przewrotu, uposażeni we wszystkie środki, jakich dostarczyć może państwo, najchętniej powracają do starej, znanej z lat dawnych techniki działania, jakby kraj był placem Grzybowskim. „Socjaliści—pisał Z. Balicki w r. 1903—nie przestali nigdy dawać swemu programowi międzynarodowego punktu wyjścia rozróżnień **dwóch niepodległości** Polski — socjalistycznej i burżuazyjnej“. Dążąc do niepodległości w imię interesów klasowych proletarjatu, nie przestawali nigdy walczyć z ideą interesu narodu jako całości. Stanowiska „Gazety Polskiej“ i „Przedświtu“, organu frakcji rewolucyjnej, są identyczne i nikogo to w ich sferze nie razi, bo ta sfera nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka rola jej przypadła „dzisiaj“. Tak przywykła do dawnej roli walczenia ze społeczeństwem i z jego szowinizmem, że gdy karci teraz P.P.S. za opurtunizm, to powtarza słowa z dawnych zebrań tajnych. I bodaj nie stać tych ludzi na uświadomienie sobie tego, co widzi całe społeczeństwo, że stoją oni po lewicy P. P. S. jako maksymaliści. Ideologja ich jest wogóle zaniedbana, ale w technice politycznej wzorują się na wschodzie. W tej formie wypadło nam przechorować kryzys cywilizacji.

Dwadzieścia pięć lat zeszły, jak z bata strzelił. Nie było możności w ramach dogmatu socjalistycznego na kształcenie myśli politycznej; była technika tylko. Przypomnijmy, jakie były metody w r. 1904; oto wspomnienia cytowanego wyżej Br. Żukowskiego, autoryzowane przez Instytut badań najnowszej historji Polski („Niepodległość“ 1929). Opowiadanie to jest bohaterską epopeą początków ruchu, który dotąd trwa, zmieniając postać, ale ludzie ci sami jeszcze działają. Otwórzmy w pierwszem lepszem miejscu tę Iljadę. Gdzież tam mowa o idei i programie? Autor pamiętnika nazywał się wtedy Harakiri; należał do bojówki, którą kierowali Kuroki, albo Katajama. A było ich 13.

„Przed tą organizacją drżały władze rządowe. Zaraz po wyborze (władz bojówki) mieliśmy my dwa zebrania z Katajamą, który dał nam 11 browningów... Na tem zebraniu Katajama zawiadomił nas, że mamy wykonać następujące wyroki śmierci“... (cztery). A dalej: „Kostek prosił, aby pozwolili mu iść z bombą. Po długim namyśle Zdun zgodził się na prośbę Kostka. Kostek doznał wtedy wielkiej radości, chciał złapać bombę i zaraz biec z nią pod pomnik Paskiewicza, ale Katajama zatrzymał go, pytając: „Macie rękawiczki?“ Ponieważ Kostek ich nie miał, więc Katajama wyjął własne rękawiczki i kazał Kostkowi włożyć je na ręce. Bomba wielkości ogniotrwałej cegły, owinięta była w oryginalne cukiernicze opakowanie, wzdłuż i w poprzek przewiązana była czerwoną tasiemką i jedwabnym białym sznurkiem, z pętelką u wierzchu dla włożenia palca... Gdyby nie miał rękawiczek, wydałby się podejrzanym z tak oryginalnym pakunkiem, na którym widniały namalowane róże *„La France“*... (s. 137).

Zaczynało się prawie po japońsku, a skończyło się na wzorach zbliżonego wschodu. Prostota, jak u Homera, a jednak dbałość o wersalski pozór: rękawiczki, róże, cukierki. W przypisku do pamiętnika redakcja „Niepodległości“ wyjaśnia, że pod pseudonimem Katajamy działał: „Aleksander Prystor, obecnie minister“. Autor pamiętnika nie pamięta dobrze, o jaką to niepodległość chodziło, ale pamięta róże i pętelkę; on tylko słuchał rozkazów z góry; od siebie daje tylko jedno: radość, że dane mu jest spełniać mord. Wszyscy należeli do P. P. S.

Tak było „dawniej — a dziś“? Autor artykułu w „Gazecie Polskiej“, zadając sobie takie pytanie, z goryczą stwierdza, że tylko część P. P. S. pozostała wierna dawnym ideałom. Oto przy boku stoi tylko frakcja z „Przedświtem“, a reszta ulegając oportunizmowi, pod wpływem parlamentarzystów z Galicji, jak Liberman, wybiera drogę parlamentarną działania, pragnie rządów „sejmowładztwa“.

Oczywiście przy tak dużej rozbieżności nawet wśród przyjaciół w poglądach na to, czy konstytucja i prawo obowiązuje, trudno społeczeństwu się porozumieć z tego typu technikami politycznymi co do elementarnych zasad moralności. „Przedświt“, organ dawnych Kurokich i towarzyszy, nazywa sprawę brzeską — „wesołą historją“. Pan poseł Burda *(nomen omen)* żałuje, że posłów nie rozstrzelano, a błogosławi mu „mankietnik“ Kowalski.

Przed społeczeństwem staje w całej nagości pytanie: czy godzi się na to, żeby cała Polska ukształtowała się według wzoru, zalecanego przez „Gazetę Polską“, Burdę i Kowalskiego, czy też pragnie wrócić do rzędu krajów cywilizowanych?

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

O LIŚCIE OTWARTYM

Z POWODU oświadczenia licznych osób, noszących nazwisko Biernackich, jenerał Dąb-Biernacki uznał za stosowne ogłosić pod adresem pułk. Kostka Biernackiego list otwarty, w którym solidaryzuje się z adresatem, a potępia wszystkich innych Biernackich, podpisanych pod oświadczeniem. Ponieważ układanie listów otwartych nie należy do urzędowych funkcyj jenerała, mamy nadzieję, że cenzura nie zabroni nam zajęcia się tą zupełnie prywatną publicystyką.

P. jenerał odmawia wszystkim Biernackim prawa do oceniania brzeskich zasług pułk. Biernackiego, ponieważ żaden z nich nie należał do Związku Strzeleckiego, do bojowców, legjonistów i t. d., a zaczepiony przez nich pułkownik posiada wszystkie powyższe tytuły do chwały i jeszcze wiele innych. Jest to co prawda jednostronne, nawet bardzo ciasne, ujmowanie patrjotyzmu, gdy się go odmawia wszystkim niebojowcom, niestrzelcom i nielegjonistom, ale do tego mieliśmy czas przywyknąć. Wypada z tego, że zabór pruski nie wydał ani jednego Polaka, zabór austrjacki może kilkunastu pół Polaków, ponieważ tam bomb nie rzucano, a w zaborze rosyjskim było tych Polaków stanowczo mniej, niż dzisiejszy klub B. B. liczy posłów.

Zostaje zatem przynależność do Strzelca, do legjonów i do POW. jako patent na prawdziwy patrjotyzm, odznaczany przez polskie władze orderami, krzyżami i t. d. Nie godząc się na ten pogląd, który ograniczałby liczbę Polaków najwyżej do kilkunastu tysięcy, śmiemy zwrócić uwagę na fakt, że w więzieniu brzeskiem podlegali pastwieniu się ludzie, odznaczeni najwyższymi orderami w Polsce, że byli poniewierani, głodzeni i policzkowani byli bojowcy, strzelcy, legjoniści, peowiacy i t. d. Wystarczy, trzymając się ram, nakreślonech przez p. jenerała, wymienić nazwiska posłów Bagińskiego lub Liebermanna. A przecież ani koleżeństwo broni, ani wspólna dola i niedola spiskowców i bojowców, ani braterstwo orderów czy krzyżów (o człowieczeństwie nie mówimy, żeby nie urazić sanacyjnej służbistości) nie wywołały w sercu potrzeby odda-

nia poniewieranym współtowarzyszom tego, do czego mieli prawo od wszystkich, zwłaszcza zaś od najbliższych. Zerwała się solidarność, skoro tylko ci strzelcy, bojowcy, legjoniści i peowiacy znaleźli się pod wozem. Rycerskości nie odkryje w tem postępowaniu nikt, nawet pospolitej, żołnierskiej kamrackości.

Nawet p. Ehrenberg — a to jest przecież wielkie słowo — wstydzi się, udaje powątpiewanie o możliwości takiego bestjalstwa, tylko sanacyjny jenerał nie wspomina nic o prawdziwości wszystkich zarzutów, postawionych pułk. Biernackiemu w interpelacji socjalistów i mimo to z nim się solidaryzuje. Czy to przyniesie korzyść w kraju i zagranicą tej armji, w której przecież i p. jenerał służy, o to go głowa nie boli.

Złą przysługę oddał Polsce i armji polskiej p. jenerał Dąb - Biernacki przez ten występ publicystyczny. Bo zagranicą chętnie się takie objawy generalizuje, zwłaszcza, kiedy cenzura i donosicielstwo nie pozwalają lepszym elementom swobodnie całkiem zdanie swoje wypowiedzieć.

M. K. D.

STOWARZYSZENIE NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

DWUDZIESTA piąta rocznica założenia Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, którą święcono niedawno uroczyście w Warszawie, to jubileusz, któremu na łamach „Myśli Narodowej" warto parę słów poświęcić, czternastoletnia bowiem działalność Stowarzyszenia za rządów zaborczych i okupacyjnych w Królestwie (1905—1919) jest okresem rzetelnej pracy narodowego nauczycielstwa nad realizacją zasad wychowania narodowego oraz nad rozwojem kultury polskiej przez szkołę.

Książka p. Pawła Sosnowskiego [1]), która ukazała się ostatnio, przypomina nam zasady ideowe Stowarzyszenia, oraz jego pracę, obfitą w doniosłe skutki dla szkolnictwa, wreszcie stawia nam przed oczy sylwetki wybitnych działaczy.

Piękny jest w swej prostocie i wyrazistości naczelny artykuł ustawy Stowarzyszenia z r. 1905:

„Zważywszy, że tylko przy odpowiedniem przygotowaniu i organizacji nauczycielstwo polskie może spełnić wielkie zadanie narodowego wychowania i kształcenia młodzieży, Stowarzyszenie ma na celu:

1) Doskonalenie i rozwój sił nauczycielskich pod względem obywatelskim, pedagogicznym i naukowym.

2) Wzajemną pomoc stowarzyszonych tak moralną, jak materjalną.

3) Zabezpieczenie interesów ekonomicznych i obronę prawną stowarzyszonych.

Uwaga. W całej swej działalności Stowarzyszenie, jako takie, stoi poza stronnictwami politycznemi i nie może służyć za teren do agitacyj partyjnych".

Zacząwszy pracę z liczbą 145 członków w r. 1905, Stowarzyszenie osiągnęło w r. 1918 wraz z oddziałami prowincjonalnemi liczbę 2008 członków, poczem połączyło się z silną organizacją nauczycielstwa galicyjskiego, przybierając nową nazwę Tow. Naucz. Szkół Średnich i Wyższych (T. N. S. W.), liczące dzisiaj około 8000 członków jest w ten sposób spadkobiercą celów i pracy Stowarzyszenia.

Warto przypomnieć, że pierwszym prezesem Stowarzyszenia był nieodżałowanej pamięci Mieczysław Brzeziński, oraz że redakcję kolejnych organów Stowarzyszenia, „Szkoła Polska", „Sprawy szkolne", wreszcie „Wychowanie w domu i w szkole" w ciągu 7 lat prowadził ś. p. Lucjan Zarzecki, jedna z najświetniejszych postaci w naszem szkolnictwie i jeden z twórców programu wychowania narodowego.

Propagując w organach Stowarzyszenia zasady wychowania narodowego, o ile na to pozwalały ówczesne warunki cenzuralne, Zarzecki zdawał sobie jednak dokładnie sprawę z niezależności myśli pedagogicznej od chwilowych prądów i nastrojów politycznych i społecznych.

„Myśl pedagogiczna",—pisze w r. 1907 w artykule „W imię pedagogji" [2]) — „tak jak każda inna kategorja, której odpowiada pewien specjalny realny zakres pytań, musi być o tyle niezależną, by wszystkie inne zakresy uważać jako pomocnicze, nie zaś podporządkowujące; ona czerpać musi swe siły i polot w innych dziedzinach i ukochaniach, które są sprężyną życia człowieka, bo ma do czynienia nietylko z tem, jak jest, ale także z tem, jak być powinno, z ideałami etycznemi. Nie może ona jednak być służebnicą przygodnych nastrojów politycznych, ani spółczesnych teoretycznych formuł społecznego rozwoju, nie może być igraszką indywidualnych upodobań, ani też narzędziem do realizowania swych przekonań".

Historjograf Stowarzyszenia, zasłużony długoletni prezes, p. Paweł Sosnowski, wydatnie podkreśla znaczenie pracy ś. p. Lucjana Zarzeckiego dla ideologji Stowarzyszenia i z żalem stwierdza jego ustąpienie z redakcji w r. 1913. Do pracy redakcyjnej powrócił Zarzecki dopiero w T. N. S. W., jako redaktor „Przeglądu Pedagogicznego", już w niepodległej Polsce.

Dumne poczucie niezależności polskiej myśli pedagogicznej od chwilowych prądów politycznych i od rządzącej partji, troska o „bezinteresowność wychowawczą szkoły", ukochania wielkich celów wychowawczych—to były podstawy ideowe, łączące w Stowarzyszeniu prawicę z lewicą nauczycielstwa, skoro w zaraniu państwowości polskiej w r. 1918 znajdujemy na łamach „Przeglądu Pedagogicznego" takie zdanie p. Władysława Radwana, jednego z przywódców radykalnego odłamu nauczycielstwa:

„Szkoła nie może być narzędziem polityki nie tylko w ręku rządzącej partji, lecz nawet w ręku żadnego rządu. Kształtowanie pokoleń narodu nie może zależeć od zmiennych, chwilowych prądów i programów, od zmiany gabinetu ministrów. Szkoła może być jedynie funkcją życia i rozwoju narodu na przestrzeni wieków. Odpowiedzialność za tę wychowawczą bezinteresowność szkoły spada przedewszystkiem na nauczycielstwo" [3]).

Dawne te i piękne słowa jakże dziwnie brzmią dzisiaj, wydobyte przez historjografa Stowarzyszenia z pod pyłu—nie wieków wcale, ale z pod pyłu 12 lat istnienia szkolnictwa w niepodległej Polsce! Chcemy wierzyć, że dzisiejsi spadkobiercy Stowarzyszenia mają nadal to poczucie odpowiedzialności za „wychowawczą bezinteresowność szkoły".

Ale w imię prawdy przyznajemy, że dziś ta odpowiedzialność staje się coraz trudniejszą do udźwignięcia.

T. JÓZEFOWICZ

[1]) „Dzieje Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, (1905 — 1919)" Warszawa, nakł. Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, 1930, str. 132.

[2]) „Szkoła polska" z r. 1907, nr. 5, str. 190, cytuję za Sosnowskim (str. 38).

[3]) P. Sosnówski *l. c.*, str. 14.

NAUKA I LITERATURA

BRACIA MROŹNI

PANI Beata Obertyńska, rozżalona na świętego Pankracego, Serwacego i Bonifacego, że zawsze sprowadzają chłody na ukwieconą ziemię w samym środku maja, wpatrywała się długo w stary kalendarz, znaczony Zodjakami. Co to może być? Zaraz po nich, 15 maja, mamy „Zofji Wdowy i 3 córek", 16-go Jana Nepomucena, a nad nimi, przez miedzę jednego dnia, 10 maja, Izydora Oracza. Nie może tak być — myślała sobie — żeby to nie miało swego znaczenia: dlaczego ci święci zebrali się razem? Na wsi — czy we dworze gdzieś pod Żółkwią, jak u p. Obertyńskiej, czy w chacie — myśl ustawicznie się wiąże z ziemią, pogodą, wiatrami, w stałej zostając symbiozie z oziminą czy kwieciem na drzewach. Pamiętamy dobrze z poezyj Obertyńskiej „Pszczoły w słoneczniku", jak pięknie wżyła się w psychologję swego podwórza; dała nam w tej ślicznej książeczce szereg portretów, od koguta i kury począwszy. W ciszy i samotności wiejskiej dusza wrażliwa gra jak harfa pod ręką przyrody.

Kalendarz przyśnił się potem poetce. We śnie widziała jak żywą św. Zofję. Historja była bajeczna.

Trzej święci z dalekiej północy, owi Pankracy, Serwacy i Bonifacy, przybyli z wiatrami do św. Zofji w konkury. Każdy chce ją pojąć za żonę: niech wybiera. Wdowa w srogim kłopocie pragnie zasięgnąć rady u św. Izydora, ale ten daleko już odszedł za pługiem. Więc udaje się do św. Jana Nepomucena, pochylonego nad księgą. Poradź — błaga go — bądź mi pomocny! Ale święty odmówił rady (ne-pomucen!). Przez ten czas trzej „Bracia Mroźni" porwali trzy córki i „odlecieli ku północy na płaszczów zagarniętych opornym łopocie". Wtedy uczyniło się zimno: lód, szron. Wdowa nie zastaje córek w komorze: Mocny Boże!

Po roku zjawili się znowu Bracia Mroźni, tym razem po wiano. Wtedy znowu powiały chłody. A święta teściowa, pojednawszy się z zięciami, rada-nierada dawała ze skrzyni wiano dla swych niebożątek, które wśród śniegów tęsknią do wiosny. Jeden z zięciów otrzymał miarę płótna, utkaną z wiosennej pogody, drugi — motek zwiniętych promieni słońca, trzeci zaś kądziołkę z poświaty miesiąca. Niech jedna szyje, druga wyszywa, a trzecia przędzie, jak dawniej. Odtąd co roku przybywają do Polski Bracia Mroźni o tej porze — po wiano. A gdy odlatują, robi się wiosna. Łzy wdowy są deszczem majowym, niewstrzymywanym, błogosławionym...

Cała historja — i tak piękna. A przecież „z niczego" — z paru dat w kalendarzu! Stworzonym w ten sposób mitem p. Obertyńska podzieliła się z siostrą swoją, p. Lelą Pawlikowską z Medyki, malarką, i społem skomponowały książkę niepospolitej wartości artystycznej. Tytuł jej: „O Braciach Mroźnych. Sen Kalendarzowy, napisany przez Beatę Obertyńską, wymalowany przez Lelę Pawlikowską". Data: Medyka 1930. Nakładem Bibloteki Medyckiej.

Obię siostry, jakby razem śniły, ześpiewały się z sobą harmonijnie piórem i pendzlem. Jakże obie czułe dla św. Zofji (może miały po ludzku na myśli swoją matkę?), a jak subtelne w humorze i w łezce lirycznej, jasnej od uśmiechu! A przytem jak pomysłowe!

Bardzo interesująca jest sama wizja poetycka. Mitologja ludu naszego legendy podobnej nie zna. Z dawnego kultu słońca pozostały zaledwie ślady powrotu wiosny w okruchach starej pieśni. Znany jest motyw wybierania „królewny" i porywania panny, zwłaszcza na ziemiach ruskich i w całej Słowiańszczyznie. Za młodu, zbierając pieśni na Podlasiu, zanotowałem urywki, które mi się teraz przypomniały:

„Tam pod borem zielona murawa — tam dziewczyna popasała pawia. Zacięła go chusteczką niechcący—paw poleciał do lasu krzyczący. Ona za nim, aż się zrumieniła — Jedzie Jasio prześliczny młodzieniec — owtu Kasiu, do wody gościeniec... Daj mi pokój ubogiej sierocie"...

Oto jest szczątek starej pieśni wiosennej. Młodzieniec — to młode wiosenne słońce; Kasia — to Prozerpina, czy też Kora, córka Demetry (matki ziemi).

Wreszcie kapituluje:

„Jak będzie słońce, słońce i pogoda — przydź Jasiu do mego ogroda. Napatrzysz się ziela zielonego..."

W innej pieśni („Z góry Mazury"...) młodzieniec mówi: „Ty się matki nie słuchaj, tylko siadaj na mój koń, pojedziemy w cudze kraje, tam są piękne obyczaje, malowany dwór..."

Podobne pieśni znajdą się u Z. Glogiera, gdy opisuje wybór „królewny" w Zielone Święta, u Żegoty Paulego (Pieśni ludu galicyjskiego: „Cóż to ludziom szkodzi — mówi matka — że mam córek wiele, ja nie mogę żadnej dać na wasze wesele"). Rusini w Galicji na Wielkanoc urządzają gry w „królewnę" i t. zw. Zelmana (u Czechów Žalman). Są to echa prawieczne misterjów Eleuzyjskich, związanych z kultem Demetry i córki jej Kory, porwanej i poślubionej przez Plutona, której coroczny powrót z Hadesu zwiastował wiosnę. Mit ten przechował się w „Przemianach" Owidjusz (ks. V) Scena z Prezerpiną jest tak podobna do przygody mojej Kasi, jak rola Owidjusza — do mojej w Jagodnem, gdym pieśń zapisywał.

Obertyńskiej rola znacznie donioślejsza, ona bowiem zaledwie potrąciwszy o ten motyw, stworzyła orginalnie nowy mit, dostosowany do sytuacji geograficznej polskiej. Pomysł przeniesienia trzech świętych mroźnych na północ mógł powstać w tym śnie poetyckim z wyobrażenia o wietrze północnym, ale i z wiadomości eschatologicznych, jakie miała poetka. Według tradycji św. Zofja (umęczona w Rzymie) miała trzy córki: Fides, Spes i Charitas (Wiara, Nadzieja i Miłość). Imiona te zachowały się w Wielkorosji, skąd do nas zimno przychodzi: Wiera, Nadieżda i Lubow.

Bardzo pięknie to wszystko we śnie kalendarzowym się skojarzyło, a jeszcze piękniej zostało zbudowane w obrazy. Dla przykładu przytoczę parę wierszy, jak atakowali Bracia Mroźni Wdowę, gdy po roku przybyli po wiano:

Święta matka w tej napaści
od środka zaparła drzwi...
I choć się wzruszeniem mieni
osępiały chłód jej lic,
ściska garście,
łyka łzy —
i nic.
Targnął dzwiami,
„To ja, matko, twój najstarszy zięć"
Gwizdnął szparą.
„Puść mnie matko! Mam do izby chęć".

Co było robić:

Więc nakryła biało stół,
dała dzban i chleb i sól,
ciasno w garść zebrała ból,
dorzuciła w komin pni,
zesunęła z ławy kota,
przeżegnała krzyżem wrota
i otwarła drzwi.
Lodem zawiało...
...A byli jak kaci
wszyscy trzej brodaci.
I mieli człapy ze skóry
futrem do góry
i rękawice futrzane
całe wyszywane.
Ryb, wiatru i ogniska
szedł od nich dymny zapach,

a że im glorji koliska
przymarzły do futra na czapach,
zdjęli je razem z czapami
i zostawili pod drzwiami.

Matka zapytuje się o ślub, o zdrowie córek i słucha, przenosząc duszę w śnieżne pola ich włości, a zięciom, gdy wspominają o żonach, mięknął z rozrzewnienia oblicza, wtedy

...glorje rozmarznięte
wstały cicho z świętych czap
i wróciły przez powietrze
świętym trzem na święty kark.

Zofja wdowa walczy w sobie, czy uznać fakt dokonany, wreszcie jedna się z zięciami; z czarodziejskiej wiejskiej skrzyni malowanej dobywa dary posażne.

Obie siostry złożyły w tej książce dowód swojej wysokiej rasowości artystycznej. Obertyńska ma w piórze znakomitą szkołę swej matki Maryli Wolskiej, udoskonaloną darem kompozycji. Włada piórem z rzadko w polskiej literaturze spotykaną świadomością artystyczną i wdziękiem. Nigdzie śladu szablonu, ani wymuszenia. A wszystko skrzy się od humoru, jakby swe pismo suszyła piaskiem brylantowym. Czego wyobraźnia czytelnika nie dopatrzy, to mu dopowiada wtór malarki Pawlikowskiej. Tu się widzi, jak obie artystki rozwinięte mają poczucie swojskości polskiej i wogóle słowiańskości.

Jest to jedna z najpiękniejszych książek, ile że i typograficznie wystojona bogato.

Z. W.

RUCH WYDAWNICZY

Nowe tomy przekładów Kasprowicza (V — VIII) obejmują Eurypidesa dramaty: Alkestes — Medea — Hippolytes uwieńczony — Hekabe — Ifigenja w Aulidzie — Ifigenja w Taurji. W posłowiu komentator (B. Butrymowicz) podaje krótki życiorys Eurypidesa, poczem odpowiednie, zwięzłe, ale zajmująco ujęte, komentarze do każdego z dramatów zosobna. Oprawa tomów — ciemnozielona, płócienna jest staranna i estetyczna, opatrzona w złoty autograf Kaspowicza.

*

Nowy tom poezyj Kornela Makuszyńskiego „Wiersze zebrane“, wydany nakładem księgarni F. Hoesicka, zawiera wybór utworów z dwóch książek: „Połowu gwiazd“ (1908 r.) i „Narodzin serca“ (1912 r.). Wiersze te, drukowane najpierw we Lwowie na szpaltach „Słowa Polskiego“, zjednały sobie szeroką poczytność i popularność, dzięki świeżości uczucia i muzykalności formy. Przytem też w ich popularności było coś więcej nad podziw dla ich piękna, była nuta oddźwięku i wzajemnego zrozumienia się młodego poety z czytelnikami. Tkliwość dla smutków codzienności i szarości istnienia, tak charakterystyczne dla talentu Makuszyńskiego, opromienione blaskiem i kwiatami fantazji, nie straciły nawet teraz, po latach, swego artystycznego znaczenia. Do tego pierwszego dorobku twórczości dodał Makuszyński wiele książek nowych, powszechnie znanych, ale już te utwory ukazały bogaty świat jego wyobraźni, melodyjność formy poetyckiej i głęboką kulturę serca. „Wiersze zebrane“ są ciekawym dokumentem, szlachetnem wspomnieniem epoki, minionej i dalekiej, a oddziałującej na czasy, które po niej przyszły, wciąż żywo i bezpośrednio. (A. W.)

*

Bardzo ładny jest gwiazdkowy numer „Tęczy“, poznańskiego tygodnika ilustrowanego. Wydano go pod hasłem: Dom—rodzina—dziecko. Wydany naprawdę pięknie, bogato ilustrowany, zawiera, prócz mnóstwa mniejszych ilustracyj, plansze Noakowskiego, Wyspiańskiego i Anny Boberg, oraz artystycznie wykonany kalendarz ścienny. Wśród artykułów i fejletonów na szczególną uwagę zwracają piękne i rzewne ujęcie narodzin Dzieciątka — Szpyrkówny, dalej znakomite gawędy Drobnika (Komo ia prababki) i Wasylewskiego (Wśród główek chłopięcych). Przemiły jest także feljeton Noskowskiego o „poczciwym domowiku“, oraz artykuł (W. B.) „Świat oczyma dziecka“. Szereg innych cennych i pięknych artykułów uzupełnia numer gwiazdkowy „Tęczy“, świadczący chlubnie o wysokiem poziomie pisma i przynoszący zaszczyt Redakcji i wydawnictwu „Tęczy“ (A. J.).

*

Mimo ciężkich warunków, w jakich wychodzi „Zaranie Śląskie“ ostatni numer tego jedynego pisma literackiego Śląska przedstawia się nader okazale. Artykuł wstępny z teki pośmiertnej ks. prał. Londzina jest ciekawym zbiorem z poezji ludowej Śląska cieszyńskiego. Gruntowny referat Dr. Dobrowolskiego informuje o „zabytkach sztuki województwa śląskiego i ich znaczeniu w nauce“. O znanym grafiku Pawle Steller'ze kreśli zajmujące uwagi J. W. Kuglin. Szkic ten ilustrowany jest szeregiem reprodukcyj dzieł artysty. Paweł Musioł daje wyjątek z pracy syntetycznej o literaturze śląsko-polskiej p. t. „Charakter literatury odrodzenia nar. na Śląsku“. Pierwszą część zamyka dalszy ciąg „Życiorysu proboszcza Szersznika“ Dr. Wytrzensa. Bardzo cenny przyczynek do dziejów literatury śląskiej daje L. Sz. Nowak, publikując „Pacierz śląski“, stanowiący niezwykle rzadki dokument zainteresowania się reszty Polski Śląskiem. Wiersz pochodzi z początków XVIII w., zawiera szereg aluzyj politycznych. Jak prawie w każdym numerze „Zarania“ tak i w tym znajdujemy piękną nowelę G. Morcinka p. t. „Cisza“.

Bardzo bogato prezentuje się dział recenzyj i materjałów. Szczerze życzyć należy „Zaraniu Śl.“, by się rozchodziło jaknajszerzej, rozwijało jaknajlepiej i krzewiło, jak za czasów niewoli, zainteresowanie dla tej ciaśniejszej ojczyzny, jak dla ślązaków jest Śląsk, Polsce zaś dało poznać całe bogactwo kulturalne, które w Śląsku tkwi. (A. J.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W ostatnich kilku latach cały szereg niemieckich utworów przełożono na język francuski. Dzięki nim Francja zapoznała się z umysłowością powojennych Niemiec. Oczywiście znalazły się rewelacje. Do tych trzeba zaliczyć odkrycie zepsucia i perwersji w dziedzinie seksualnej. Liczni bowiem pisarze francuscy, po dłuższym pobycie w Berlinie i innych miastach Rzeszy, wywieźli wrażenie o niezwykle rozluźnionych obyczajach i o zboczeniach Niemców. Do rzędu tych literatów należy p. Royère, który publikuje książkę p. n. „*L'Amour en Allemagne*“ Zagadnieniem tem zajął się również p. Georges Imann, ale z punktu widzenia znacznie szerszego, bo dając mu tło społeczno-polityczne. Obserwacje swoje zużytkował w powieści „*Le Tourmenteur*“ (Grasset éd it.) Bohaterem jej bowiem jest Niemiec, Walter Henkel. Już od lat dziecinnych zdradza on złe instynkty, które z biegiem lat będą jedynie się potęgowały, czyniąc zeń niegodne indywiduum, a wreszcie zbrodniarza.

Monstrum to, odtworzone przez p. Imanna, nie wydaje się nieprawdopodobne. Koło niego krążą inne, niemniej charakterystyczne postacie, jak n. p. Kurt Engelbrecht, jeden z przewodników tajnego stowarzyszenia „Czarnego Orła“. Pozatem sama akcja powieści jest tem interesująca, że poprzez nią nakreślonych jest kilka momentów dramatycznych, odnoszących się do myśli uczynienia z Nadrenji rodzaju „*Etat tampon*“, pomiędzy Francją a Niemcami. Projekt zaś ten, jak wiadomo, był popierany przez wielkiego patrjotę, jakim był generał Maugin. Nie dano mu go jednak zrealizować. Książkę swoją p. Imann napisał przed ewakuacją lewego brzegu Renu i, jak sam podkreśla, wypadki, które potem zaszły, utwierdzają go tylko w jego przekonaniach co do tej sprawy, niestety już nie do odrobienia.

*

José Maria Salaverria daje doskonale ujęte sylwetki nowoczesnych najwybitniejszych pisarzy hiszpańskich w zbiorku wydanym pod tytułem „*Nuevos Retratos*“ (Nowe portrety). Książka napisana szczerze i śmiało. Autor oddając każdemu z pisarzy to, co mu się słusznie należy, nie szczędzi nieraz gorzkich słów, rąbiąc prawdę bez oglądania się na osoby.

*

Concha Espina jedna z najwybitniejszych powieściopisarek współczesnych ogłosiła bardzo ciekawe studjum „*Las Mujers del Quijote*“ (Kobiety Don Kichota) o typach kobiecych, przedstawionych w nieśmiertelnym utworze Cerwantesa „Don Kichocie“. Studjum to jednak jest napisane tak barwnym stylem, że czyni wrażenie powieści i czyta się niemal jednym tchem.

*

Wśród dość bogatej literatury hiszpańskiej z dziedziny sztuki zasługuje na szczególniejszą uwagę doskonale napisane przez Ramiro de Pinedo dzieło: „*El simbolismo en la escultura medieval espanola*“ (Symbolizm w rzeźbie średniowiecznej hiszpańskiej).

DYSKUSJA

W OBRONIE FOTOGRAFIKI

FOTOGRAFICY polscy mogą się tylko cieszyć z uporczywości, z jaką p. Stanisław Pieńkowski już w drugim obszernym wywodzie („Myśl Narodowa", Nr. Nr. 41 i 47) odsądza *a priori* fotografikę od atrybutu i godności artyzmu i przyrównywa ją, jako proceder rzekomo wyłącznie techniczny, do „dentystyki", konnej jazdy, „piłkarstwa nożnego", tudzież do zawodów „adwokackiego i złodziejskiego". Nie jestem pewien, czy adwokaci polscy, posadzeni pomiędzy fotografami i złodziejami, nie uznają tego towarzystwa za cokolwiek mieszane, złodzieje natomiast prawdopodobnie nie zaprotestują. Co zaś do fotografików, to jestem spokojny, że i to wytrzymają z niezmąconą pogodą. Fotograficy, jako generacja artystyczna młoda, wierząca w swoje siły i w przyszłość, nie lubią tylko, gdy się o nich milczy. Na wymyślanie godzą się filozoficznie: nie umniejszy ono ich artystycznych dokonań, a zawsze wywoła wymianę zdań i tem poruszy nieco stojące wody w stęchłych sadzawkach obojętności i nieuctwa.

Podpisany nie zamierza polenizować z całym aparatem djalektycznym twierdzeń, przesłanek i wniosków p. Pieńkowskiego. Będąc jednym z tych niedźwiedzi, których skórę sprzedaje się przed zabiciem, uważa, że jemu najmniej przystoi wstępować w szranki turniejowe z tak świetnym bojowym rycerzem i kruszyć kopję o artystyczną cześć i cnotę swej fotograficznej muzy — wybranki. Pole walki jest dla niego zbyt najeżone zasadzkami: od łacińskiego *„pro domo mea"* do staropolskiego „każdy cygan swego konia chwali" — wszystko to czyha na łatwą sposobność zamknięcia ust i trjumfalnego obwieszczenia, że jest pokonany jeszcze przed walką.

Pozostawię przeto wielką zapaśniczą rozgrywkę innym, którzy niewątpliwie ozwą się prędzej czy później na gromkie wyzwanie trąby p. Pieńkowskiego i staną z nim na ubite pole do walki pieszej lub konnej, aczkolwiek nie taję, że będą to musieli być gracze nielada, by sprostać potrafili takiemu szermierzowi djalektyki, takiemu mistrzowi teorji, jak mój wielce szanowny oponent. Sam zaś tylko mimochodem, z całą skromnością, przynależną memu fachowi fotograficznemu, tak obrazowo skwalifikowanemu przez p. Pieńkowskiego, ośmielę się przypatrzeć bliżej niektórym szczegółom jego rycerskiej zbroicy i oręża, spróbuję się przekonać, czy są dopięte należycie jej sprzączki i klamry i czy zgodne są z rycerskim obyczajem chwyty i razy jego miecza? Bo gdyby się przypadkiem znalazły jakieś niedokładności w rynsztunku i taktyce bojownika, to wówczas bylibyśmy zmuszeni zastosować jego własną metodę rozumowania apriorycznego i podać w wątpliwość jego prawo do występowania w szranki z bronią — nieprzepisową.

P. Pieńkowski orzeka, że dla wydania sądu o cenzusie artystycznym fotografiki nie potrzeba znać jej dzieł, lecz wystarcza znać przebieg jej techniki. Dla większej wagi twierdzenia przyznaje otwarcie, że utwory fotografiki współczesne są mu obce i, w wyniku—odsądza ją od wartości artystycznej na tak długo, „dopóki artysta posługuje się aparatem, na pasku noszonym".

Wobec tego nie może mi p. Pieńkowski odmówić przyjęcia jednej z dwuch następujących alternatyw. Albo musi zgodzić się z twierdzeniem mojem, że dopóki malarz posługuje się pendzlem, a nie palcem, i kasetą z farbami, noszoną także na rzemyku, dopóty praca malarza jest wyłącznie rzemieślniczem rękodziełem i za artystyczną nie może być uważana. I wówczas stanie się oczywistem, że taki ton i sposób uzasadnienia nie może mieć miejsca w poważniejszem roztrząsaniu, za co odpowiedzialność nie mnie obciąży. Albo też musi p. Pieńkowski, wywyższający pendzel kosztem aparatu, zgodzić się na to, że każdy malarz, pacykujący ręcznie i olejno na blaszanym szyldzie sklepikowe zawartości, jest niezaprzeczonym artystą, a to jego pendzlowanie posiada wysokie dostojeństwo artyzmu, ponieważ, zawsze zgodnie z motywowaniem p. Pieńkowskiego, na tym sklepowym szyldzie, „na całej powierzchni, w każdym centymetrze kwadratowym, każda kreska i każda plama zostały wykonane ręką człowieka". Tak bowiem wierzy i tak wierzyć każe mój szanowny preopinant.

Widać z tego, że podobną argumentacją spraw artystycznych mierzyć i rozstrzygać nie można. Tu jest właśnie *„le défaut de la cuirasse"* mego przeciwnika, owa wada uzbrojenia i walki, którą się podjąłem uwidocznić. W sztuce badać i krytykować należy nie środki, tylko — osiągnięcie. Nie narzędzia, tylko—dokonane dzieła. Nie materjalną, techniczną drogę wykonawczą, tylko—natężenie i skalę, w jakiej odzwierciadla się w tem wykonaniu osobowość, psychika, kultura i talent, słowem—duchowość człowieka. Powtarzając te abecadłowe prawdy, znane studentom akademji z pierwszego roku, przykro mi naprawdę, że musi je przypominać wytrawnemu weteranowi estetyki — taki zwyczajny fotograf z rzemykiem przy aparacie.

Ale trudno — *„amicus Plato, sed magis amica veritas"*. Muszę brnąć dalej. Malowanie i rysowanie, tak samo zresztą jak pisanie rymowanych wierszy i klawicymbalenie na fortepianie, nie są wcale artyzmem i nigdy artyzmem nie były. Są to rzemiosła, umiejętności do nabycia, właśnie mniej albo więcej takie, jak „dentystyka, berejterstwo i piłkarstwo nożne", zgodnie z tabelką rang estetycznych p. Pieńkowskiego. Prawda, że malowanie jest bardziej odręczne, niż fotografowanie, ale wyrywanie zębów palcami jest jeszcze bardziej odręczne, niż rwanie ich szczypcami. Umiejętność malowawania nie jest sztuką twórczą, jest tylko sztumistrzowstwem rzemieślniczem. Ludzie doskonale rysujący lub malujący lokomotywy, samochody, obuwie i kalosze do katalogów reklamowych nietylko nie są uważani przez innych za artystów, ale nawet sami do tego nie mają pretensyj, a jeśli mają, to są w tej opinji odosobnieni. Nie wiem, co o nich sądzić powinien p. Pieńkowski, jeśli chce pozostać wierny swoim kategorjom artystycznym, ale wydaje mi się pewne, że i Matejko i Wyspiański woleliby uznać za swego kolegę ktoregoś ze znanych wybitniejszych fotografików, niż takiego procedurzystę, który odręcznie i osobiście na każdym calu powierzchni doskonale wyrysował i wymalował flaszkę Odolu i większą ilość olśniewających zębów, ale nigdy w życiu nie potrafił zrobić porządnego portretu lub pejzażu, pojętego wyraziście i syntetycznie. A nie potrafił dlatego właśnie, że nie miał talentu i duszy artysty, nie miał tych sił duchowych, których obecność decyduje w sztuce sama jedna, niezależnie od narzędzi, czy to będą rzemyki przy aparacie, czy patyki przy pendzlu.

Z tego zdaje sę wynikać dowodnie ten zresztą całkiem oklepany morał, że dla powstania dzieła sztuki trzeba dwuch tylko warunków: umieć dobrze jakieś rzemiosło odtwarzające i posiadać talent twórczy. Droga tu jest zarówno (choć nie jednako) otwarta i dla magnatów — malarzy i dla kopciuszków — fotografów.

Z pewnem zażenowaniem czytam dalej śmiałe i apodyktyczne twierdzenie p Pieńkowskiego, że „fotografja z założenia swego nie jest wytworem rąk i myśli człowieka". Niestety, — trzebaby tego dowieść, bo gołosłowne powiedzenie nie przekonywa, zwłaszcza, gdy jego autor i w tem, do czego się przyznaje i w tem, jak się porusza w dziedzinie fotografiki, zdradza całkowitą niewiadomość jej współczesnego stanu, co bardzo utrudnia nietylko możność porozumienia, ale wręcz samą dyskusję. Przywykło się mniemać, że wpierw poznaje się gruntownie pewną sprawę, a dopiero potem wydaje się sąd o niej. P. Pieńkowski woli czynić odwrotnie i zmusza mię do przeciwstawiania mu tego znów

banalnego pewnika, że fotografja jest ponad wszelką wątpliwość wytworem i rąk i myśli człowieka, co jest zawsze do sprawdzenia dla nieuświadomionych bądź w prywatnych rozmowach, bądź w drodze kwestjonarjusza do stu fotografików polskich. Zapewne, tłumy amatorskich snobów, bawiących się fotografją, jak radjem lub sportem samochowym, czynią to równie bezmyślnie, jak liczne panienki, malujące na porcelanie. Ale poważni fotograficy, o jakich wyłącznie tu może być mowa, komponują i wykonywają obraz myślą, okiem i ręką z takim samym nakładem zdolności, umiejętności i zapału, jak artyści — malarze, z tą tylko różnicą, że technikę rysunkową upraszczają sobie posiłkowaniem się aparatem fotograficznym. A już co do tych „rąk", których obecność i nieprzerwaną czynność tak wysoko ceni w sztuce p. Pieńkowski, to nie wiem doprawdy, jak mam go zapewniać o tej oczywistej prawdzie, że rąk nietylko używają ale i nadużywają zarówno kiepski malarz, jak marny fotograf, a posługują się niemi celowo i w miarę (a nie zamało), obydwaj adepci rzemiosła malarskiego i fotograficznego z chwilą, gdy iskra boża talentu uczyni z nich artystów. I to całkiem niezależnie od kształtu i stopnia bezpośredniości narzędzia, przy którego pomocy wyrażają swe twórcze tęsknoty i przeżycia.

Dajmy więc może lepiej spokój rękom i narzędziom, a mówmy o duszy. To ważniejsze. Ale w takim razie rozumowanie i wnioskowanie p. Pieńkowskiego, oparte na wyraźnej predylekcji do środków, z zapoznaniem celu, zdaje się tracić podstawę, a z nią i wagę dowodową, bo nie można powiedzieć nic poważnego o artyście, ani o jego sztuce, jeśli się kwalifikuje jego narzędzia zamiast jego dzieł.

Z argumentacji p. Pieńkowskiego miałbym prawo przypuszczać, że ten znany i doświadczony krytyk nie będzie w stanie określić wartości artystycznej jakiegoś nieznanego mu rodzaju dzieł sztuki tak długo, dopóki nie wylegitymuje go z charakteru użytych doń rękoczynów. Że nie interesuje p. Pieńkowskiego stopień emanacji duszy człowieczy z utworu, tylko techniczny sposób jego wykonania. Że dopiero z chwilą, gdy p. Pieńkowski sprawdzi ze skrupulatnością celnika, dokumenty pochodzenia towaru artystycznego, gdy z surowością sędziego śledczego zbada paszportowe personalja estetycznego złoczyńcy — wówczas tylko potrafi orzec, czy dzieło posiada wartość artystyczną, i czy uprawnia jego samego do uczucia tak prostego i bezpośredniego, jak — emocja estetyczna.

Wierzę oczywiście, że tak nie jest. P. Pieńkowski nie od dzisiaj cieszy się ustalonym rozgłosem i autorytetem, jako wytrawny krytyk i znawca sztuki, a w odczuciu pierwiastków integralnie narodowych sztuki polskiej, odczyszczaniu jej od naleciałości rasowo obcych nie ma siebie równego w całej może Polsce. Należę sam do przekonanych wielbicieli wiedzy i pracy p. Pieńkowskiego w tej ważnej dziedzinie kształtowania polskiej myśli narodowej i czytuję z zajęciem i jednomyślnością to, co on pisze o sztuce. Jeśli więc dzisiaj musiałem zająć stanowisko przeciwstawne, które mnie samemu wydaje się obcem i dziwnem w stosunku do jego osoby, to jest tylko dowodem, że temperament bojowniczy uniósł p. Pieńkowskiego zadaleko w dziedzinie nowej, niedość mu znanej, by być sprawiedliwym. Teoretyzm, gdy bierze rozbrat z życiem i z jego wciąż narastającą treścią, musi zawsze doprowadzić do ślepego zaułka bez wyjścia. Bo mimo całego szacuku dla p. Pieńkowskiego muszę podkreślić, że on sam nie wahał się oświadczyć, iż dzieł współczesnej fotografiki nie zna, i znać dla wydania o nich sądu nie potrzebuje. A przecież i fotografika, gdyby nawet była w powijakach (a rozwija się w Polsce bardzo wybujale), stanowi jakąś cegiełkę w budowaniu drogiego nam gmachu Polski odrodzonej; przecież ludzie, co jej poświęcają duży szmat swego życia z zamiłowaniem i oddaniem, mogą w sobie mieć jakąś iskrę rodzimego, polskiego zapału i ukochania, mogą umiłować w swoim zakresie, rozwijać i wzbogacać kształtowanie „myśli narodowej"? Więc czy można znaleść tytuł do chwały w tem, że się ich wyników nie zna i znać nie pragnie?

Dlatego nie mogę nie powiedzieć na koniec, że tego rodzaju wyznanie p. Pieńkowskiego nie zdaje mi się być zgodne ze stanowiskiem wszechstronnego badacza objawów kultury polskiej. Rozstrzyga ono o wartości jego argumentów i tez tak całkowicie, że usuwa potrzebę wszelkiej dalszej dyskusji. Ktoś z wielkich Niemców starej daty powiedział: „*Grau is die Theorie — grün ist des Lebens Baum*". Jestem przekonany, że w przedmiocie fotografiki to samo odpowie jeszcze kiedyś p. Pieńkowskiemu — życie.

Mnie zaś w toku tych roztrząsań wciąż uporczywie staje przed oczami taki obrazek. Uczeni rzeczoznawcy zamknęli się w pokoju o szczelnie zasłoniętych okiennicach i siedzieli w nim tak długo, aż całkowicie stracili rachubę czasu. Gdy wkońcu chcieli dowiedzieć się czegoś o tym czasie, powydostawali zatrzymane zegarki, zeszłoroczne kalendarze i inne rupiecie naukowe i na ich podstawie szukali prawdy, wiodąc spór długi i zażarty. Jeden niechybnie dowodził, że w tej chwili jest ciemna noc, inny, choć miarkował, że jest dzień, nie umiał tamtego przekonać, a nie mógł i nie chciał się z nim zgodzić. Spieraliby się tak może do sądnego dnia. Ale było z nimi w pokoju dziecko, któremu było nudno, głodno i sennie. Doprowadzane do ogłupienia i rozpaczy, dziecko rzuciło się nareszcie do drzwi, pchnęło je przed siebie ze wszystkich sił — i oto jaskrawy, radosny potop słoneczny zalał pokój, oślepił uczonych, jak nietoperzy i — zakończył dysputę.

Takiemi dziećmi będą przyszli fotograficy polscy. *Grau ist die Theorie — grün ist des Lebens Baum.*

Wilno. JAN BUŁHAK

NA MARGINESIE

Poncki Piłat:
A gdyby nawet o to pomówiono
twojego więźnia niesłusznie, cóż szkodzi,
że ginie człowiek? Nie jesteśmy młodzi
i już niejedna kropla krwi przelała
w naszych się rękach... w tem jest prawda cała,
żeśmy już na to patrzeć nauczeni...
(Kasprowicz, „Uczta Herodjady")

*

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
I goił burze ducha... ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot—a Lech słyszał,
I czuł, żem ja go gryzł — do ziemi chylił.
(Król-Duch, r. I)

*

Pisząc o działalności p. pułk. Kostka Biernackiego w Brześciu, p. generał Dąb-Biernacki określił ją poprostu jako pełnienie służby... „nielinjowej". Co za zręczna, elegancka, delikatna i „substelna" formuła! Doprawdy szkoda, iż taki talent niezwyczajny marnuje się po koszarach albo biurach wojskowych... P. generał Dąb-Biernacki powinienby jaknajprędzej otrzymać odpowiedzialne stanowisko... w dyplomacji.

*

Protesty profesorów wyższych uczelni w sprawie Brześcia podpisali między innymi dwaj biskupi katoliccy, wybitni uczeni, wykładający na fakultetach teologicznych, ks. biskup Antoni Szlagowski (Warszawa) oraz ks. biskup Godlewski (Kraków).

W obronie metod brzeskich wystąpił natomiast... „episkopat" marjawicki *in corpore*, a zatem aż trzech „biskupów", nie licząc całej gromady „mandolinistek". „Sanacja" więc i wśród „biskupów" ma większość za sobą, tak jak ma ją w obu izbach ustawodawczych. I tak samo jak w izbach ustawodawczych, mniejsza o to, z kogo się ta większość składa...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.